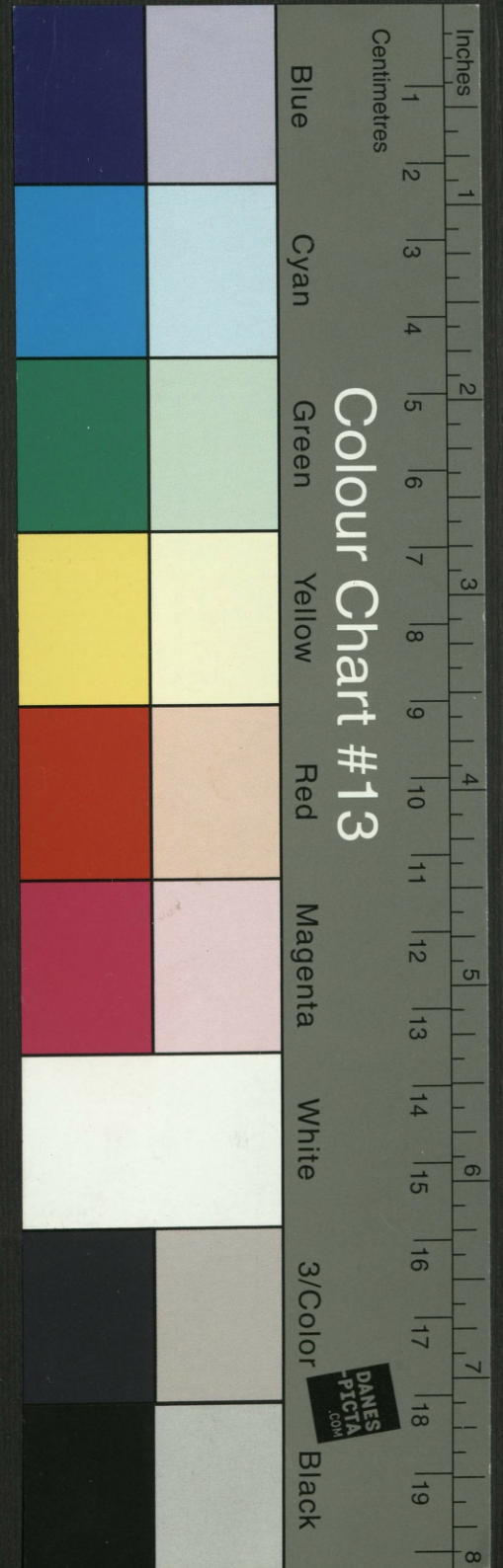


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

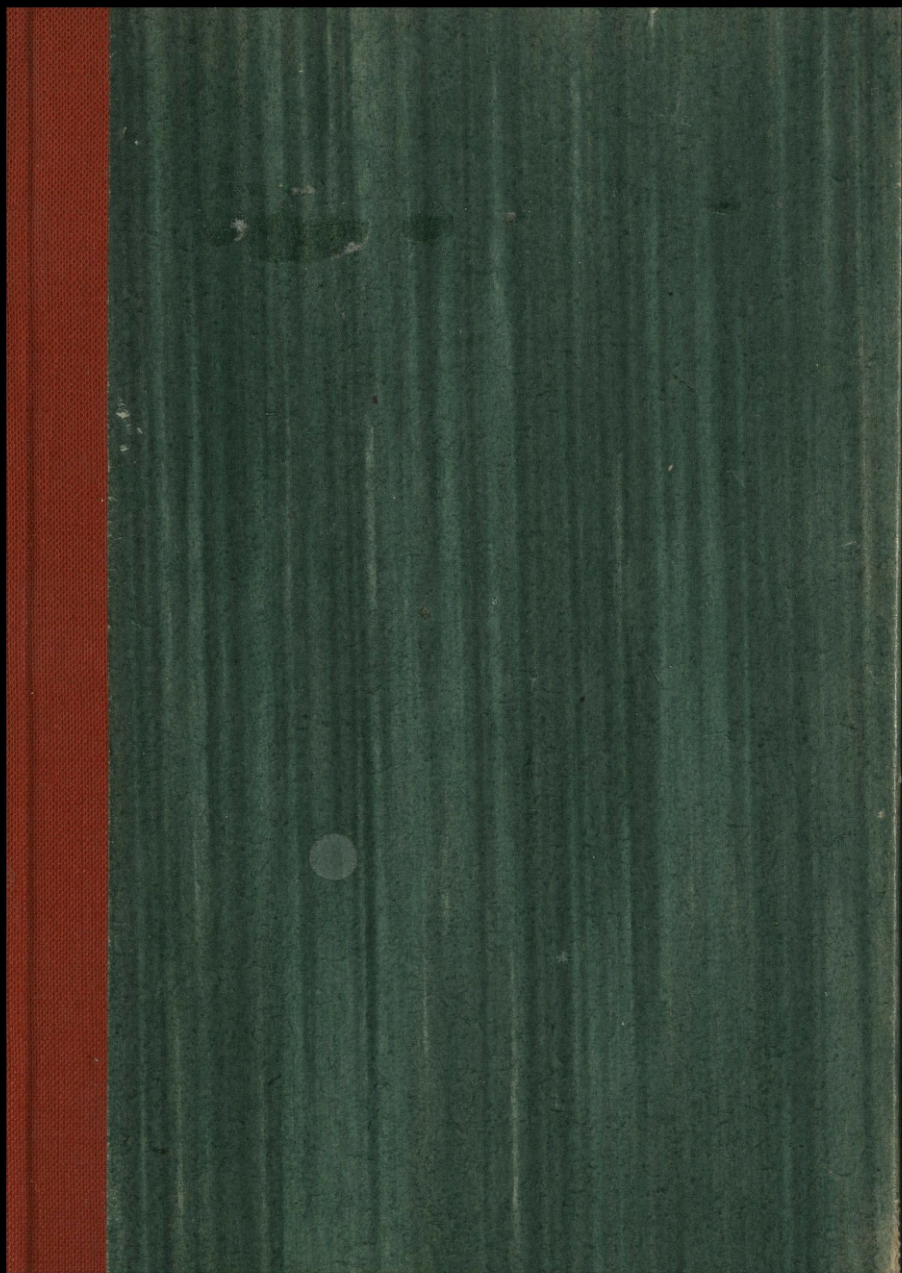


Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

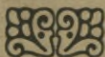




FELIKS KONECZNY.

SKRÓT
DZIEJÓW WŁOŚCIAŃSTWA
W POLSCE
BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Politt. - Wych.



3755.

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Politt. - Wych.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JOZEF A ZAWADZKIEGO
W WILNIE ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ 1921.

93(638): 3233

M 13
/ 2

BIBLIOTEKA
Włocławek, Szkoła Politechniki - Włocławek

5939/
1



Druk. Żaibas Wilno

TREŚĆ.

	Str.
1. Byt pierwotny. Rody, plemiona, księstwa.	7
2. Narocznicy i niewolnicy prywatni. Polska a Ruś.	10
3. Czyszownicy, dzierżawcy, gbury i szlachta.	15
4. Ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego. Kmiecie i sołtysi .	22
5. Pierwsze folwarki. Skup sołectw. Zagrodnicy.	31
6. Jakim sposobem szlachcic poczynał panować na wsi. Sprawa podatku łanowego. Żydzi na wsi.	38
7. Zawiązki poddaństwa ludu wiejskiego.	44
8. Na Litwie, Rusi i w Moskwie.	51
9. Piechota wybraniecka. Okres patrymonialny. W Polsce a za granicą	59
10. Kościuszkowskie czasy.	69
11. Po rozbiorach.	79

h. nr. 3755,

BIBLIOTEKA

Wyższe! Szkoły Politt. - Wyob.



SKRÓT DZIEJOW WŁOŚCIAŃSTWA W POLSCE.

Jak poprzedni „Skrót do nauki historii polskiej” (Wilno 1920, w tymże nakładzie), podobnie i niniejsze dziełko powstało z praktycznej potrzeby, stanowiąc tamtego konsekwencyę i uzupełnienie. Zwrócono się do mnie w tej materji, wielce aktualnej i stanowiącej przedmiot powszechny ożywionych rozmów, namiętnych dysput i agitacyi, niestety zdrożnej, której ludzie dobrej woli nie zdołają się często przeciwstawić, nie mając skąd czerpać informacyi dla siebie, nie mogąc przeto oświecać innych. Daleki jednak jestem od pisania broszury agitacyjnej i nie agitacyjnej używam metody. Powtarzam tu i zbieram w odpowiednim skrócie to, co pisałem był na podstawie badań własnych i cudzych w rozmaitych dawniejszych, obszerniejszych swych pracach, łącząc przy rozmaitych sposobnościach to i owo z dziejów spraw rolniczych z ogólnym tokiem historii narodowej — w czasach kiedy o żadnym praktycznym z tego pożytku nie mogłem być myśleć. Spisuję obecnie w jednym rzucie to, co za prawdę naukową przedtem już uznawałem, niczego a niczego nie dorabiając (ani nie ujmując) ze względu na chwilę obecną. Wierzyłem zawsze mocno w cudowną moc Prawdy i żywię najgłębsze przeświadczenie, że wiele ran w życiu publicznem zabiłoby się, gdyby je zechciano leczyć prostem poszukiwaniem Prawdy.



THE UNIVERSITY OF CHICAGO

PHYSICS DEPARTMENT

PHYSICS 551

LECTURE NOTES

BY

ROBERT A. FAY

AND

JOHN H. COOPER

CHICAGO, ILLINOIS

1963

UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS

530 N. DEARBORN AVENUE

CHICAGO, ILLINOIS 60607

U.S. POSTAGE OFFICE PERMIT NO. 1000

CHICAGO, ILLINOIS

POSTAGE WILL BE PAID BY ADDRESSEE

NO. 1000

UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS

530 N. DEARBORN AVENUE

CHICAGO, ILLINOIS 60607

U.S. POSTAGE OFFICE PERMIT NO. 1000

CHICAGO, ILLINOIS

POSTAGE WILL BE PAID BY ADDRESSEE

NO. 1000

UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS

530 N. DEARBORN AVENUE

CHICAGO, ILLINOIS 60607

U.S. POSTAGE OFFICE PERMIT NO. 1000

CHICAGO, ILLINOIS

POSTAGE WILL BE PAID BY ADDRESSEE



1. Byt pierwotny. Rody, plemiona, księstwa.

W pierwotnych dawnych czasach kraj cały był po większej części pusty, niezaludniony; w niewielu tylko stronach znajdowało się nieco więcej ludności, zamieszkałej gromadnie. W miarę przyrostu ludności rozchodziło się z tych gniazd pierwotnych osadnictwo na okolice coraz dalsze. Sposobów do życia dostarczało łowiectwo, bartnictwo leśne (ulów jeszcze nie znano), rybołówstwo i hodowla bydła. Rolnictwo należało raczej do wyjątków, a rozpowszechniało się bardzo powoli. Tamte zajęcia, leśne, łączne i jeziorne czy rzeczne, wymagały znacznych przestrzeni. Każdy zrozumie, że ta sama ilość ziemi, która starczy na wyżywienie pewnej liczby osób z rolnictwa, nie może wystarczyć, żeby ich wyżywić z łowów lub pasterstwa; do tego trzeba by ziemi bez porównania więcej. Toteż w owych czasach następowało szybko przeludnienie. Natenczas część młodzieży posuwała się dalej, zajmując okoliczną niezaludnioną ziemię na swe łowy, na wypas bydła, na rybołówstwo dla siebie i t. p. Ziemia, która niczyją jeszcze nie była, stawała się własnością tych, którzy pierwsi na niej gospodarowali, jak umieli. A posuwało się osadnictwo z pokolenia w pokolenie, przeważnie wzdłuż rzek, które były głównymi zarazem drogami, często jedynymi.

W taki sposób dokonywało się zaludnienie całego kraju. Powolny ten ruch ludności, ale stopniowy a stały, trwał w Polsce aż do początków XIII wieku, poza rok 1200. Mniej więcej koło roku 1230 niema już w Polsce krain niezaludnionych, z wyjątkiem tylko kilku największych puszczy leśnych na Podkarpaciu.

Wspólne pożycie tej ludności oparte było na ustrój u r o d o w y m. Ród stanowił podstawę organizacji polskiej ludności. Było to rozszerzeniem władzy ojcowskiej, która

jest najstarszą ze wszelkich władz i pierwotnie innej ani nie znano, ani nie potrzebowano. Władza ojcowska była nieograniczona. Póki żył ojciec, synowie nie mogli być samowładnymi, a ich potomstwo podlegało również władzy głowy rodu, który z ojca stawał się dziadem i pradziadem, z władzą nieograniczoną nad synami, wnukami i prawnukami. Rozradzające się potomstwo, zajmując ziemię w sąsiedztwie dookoła, nie zajmowało jej na swoją własność osobistą, tylko w imieniu głowy rodu, na wspólną własność całego rodu. Tak zajmowali ziemię sąsiednią dopóty, póki nie natrafili na ziemię, zajęta już przez inny jaki ród.

Gdy nie mogli już rozszerzać się w bezpośrednim sąsiedztwie, przystępowali do karczowania (lub spalania) części lasów, jeżeli okolica była sposobna do rolnictwa, a ludzie mieli do sochy ochotę. Ochota do tego nie zawsze bywała, boć rolnictwo cięższą jest pracą od myśliwstwa lub pasterstwa i przywiązuje człowieka na całe życie do jednego kąta, krępując mu swobodę ruchów, a tego nie lubiano. Zazwyczaj więc młodzież, nie mogąca się już używić na dotychczasowej posiadłości rodu, wołała przenieść się gdzieś dalej, poszukać szczęścia w szerokim świecie, szukając okolicy jeszcze niezaludnionej, pustej i tam zakładali nowy ród.

W okolicy zaopatrzonej obficie w dary przyrody, mogącej przeto wyżywić więcej ludności, a przytem oddalonej znacznie od innych osadnictw, mogło pozostać przy sobie w sąsiedztwie bliżkiem nawet bardzo wiele rodzin, wywodzących się od wspólnego przodka. Pozostawały pod władzą wspólnego naczelnika rodu, który sam wyznaczał następcę po sobie, swego brata lub syna i to niekoniecznie najstarszego, lecz którego uważał za najzdatniejszego. Taki starosta rodowy wyznaczał każdemu roboty, kierował całym gospodarstwem i rozstrzygał o podziale żywności między członków rodu.

Pokrewne rody tworzyły większe całości, które zowieśmy plemioma. Każde plemię uważało się za oddzielny związek czyli organizację. Skoro osadnictwo postąpiło już na tyle, że końcowe osady różnych plemion zbliżyły się do

siebie, stawało się niemożliwym dalsze przenoszenie się i przesiedlanie na jakieś ziemie puste. Zaczyna się ludność zgęszczać, z konieczności coraz więcej osób musi się żywić na jednej mili, więcej, niż przedtem na dwóch i trzech milach. Trzeba było zabierać się coraz bardziej do rolnictwa. Ale rolnictwo nie wszędzie dało się zaprowadzać — i nie wszyscy kwapili się do pracy.

Był drugi sposób zapewnienia sobie bytu: rzucić się przemocą na posiadłości sąsiedniego plemienia i zająć ziemię cudzą. Toteż plemię od plemienia odgraniczało się i zabezpieczało w ten sposób, że całymi milami zrąbano szeroki pas boru, a setki leżących na sobie drzew obrośniętych trawami i krzewami, tamowało przystęp. Zasieków tych i nielicznych w nich „bron“, przez które musiała być droga, gdy nie można się było bez niej obejść (albo gdy płynęła tamtędy rzeka)—trzeba było pilnować przed napaścią, stać tam przy „bronie“ na „stróży“ i ludzi do tego kolejno wyznaczać. W razie walki trzeba było mieć zdatnego do niej naczelnika, którym rzadko tylko chyba mógł być sędziwy starosta którego rodu. Trzeba zaś było nadać takiemu naczelnikowi wojennemu władzę silną, bo na wojnie trzeba surowego rozkazu i ślepego posłuszeństwa. Takiego wojennego naczelnika zwano księciem i taki jest początek władzy książęcej, z której potem wyrosła władza królewska. Tak było w Polsce, bo tak też bywało we wszystkich krajach całego świata.

Rody pozostały organizacją społeczną, a z władzy książęcej powstała organizacja państwowa.

Początkowo były to księstwka maleńkie, obejmujące ledwie najbliższą okolicę. Potem łączyły się ze sobą sąsiednie, czasem dobrowolnie, ale czasem ulegając przemocy księcia silniejszego. Na południu ziem polskich wytworzyły się znaczniejsze organizacje państwowe w Wiślicy i w Krakowie, ale najważniejsza powstała na północy, nad jeziorem Gopłem, w Kruświcy, skąd rozszerzała się ciągle pod dynastją Piastów. Tam tedy powstało państwo piastowskie, którego stolicę przeniesiono z Kruświcy do Gniezna, potem do Poznania, następnie (za króla Bole-

sława Wielkiego, około roku 1020) do Krakowa na południe, tak bowiem daleko rozszerzyło się państwo piastowskie w ciągu kilku pokoleń.

Odkąd powstała organizacja państwowa, przybył nowy sposób utrzymywania się i to poza gospodarstwem, a mianowicie: służba książęca. Wiele osób, które obecnością swą wśród domowych pieleszy przyczyniałyby się tylko do utrudnienia warunków bytu zbyt już rozrodzonego rodu, nie mającego gdzie rozszerzyć swych posiadłości—miało przed sobą widoki o wiele lepsze, gdy rzuciwszy osadę rodową, oddali swe usługi księciu. Książęta Kruświcy, Gniezna i Poznania wyrosli na królów Polski; monarcha potrzebował coraz więcej żołnierzy i witał chętnie każdego, kto chciał wstąpić do jego drużyny wojennej. Nikogo się nie zmuszało, a ochotników licznych nie brakowało nigdy.

Dzieliło się tedy pierwotne społeczeństwo polskie na dwa stany według zajęć: na wojowników i gospodarzy. I ci i tamci byli tego samego pochodzenia, tej samej krwi. Z dwóch rodzonych braci jeden zostawał w rodowym gospodarstwie, we wspólnocie rodowej, a drugi przysłał do drużyny książęcej i chadzał z królem na wyprawy wojenne—jak kto wolał i co komu lepiej dogadzało. Jedni i drudzy byli jednakowo rodowymi Polakami.

2. Narocznicy i niewolnicy prywatni.

Polska a Ruś.

Przez stykanie się z obcymi ludami i przez wojny zmieniały się stosunki społeczne i warunki osadnictwa. z każdej wyprawy wojennej przywożono jeńców, których osiedlano pod grodami, nakładając na nich przymus robocizny dla grodów i ich załóg. Byli jeńcy z Pomorza, byli połabscy, czescy, ruscy, niemieccy i pruscy z nad morza Bałtyckiego; nawzajem też nie brakło nigdzie u ościennych jeńców polskich. Jeńców wojennych nie wymieniało się wówczas po skończonej wojnie; niemal wszyscy pozosta-

wali w kraju swego zwycięzcy, stanowiąc tam ludność niewolną. Nazwy licznych wsi polskich, jak Pomorzany, Czechy, Prusy i t. p. świadczą, że powstały pierwotnie z takiego osadnictwa niewolnego. Jeniec wojenny stawał się bowiem w Polsce piastowskiej niewolnikiem królewskim, a więc, jakbyśmy to dziś nazwali, własnością państwową.

Ażeby państwo miało pożytek z jeńców, osiedlano ich po różnych stronach kraju drobnymi oddziałami, a każda taka osada miała swe zajęcie przymusowe, zwane *n a r o k i e m*, od czego osadników niewolnych zwano *narocznikami*. Byli to: rybacy, łagiewnicy (wyrabiali statki domowe), miodarze, winiarze, koniuchy, świniarze, szewcy, kucharze, piekarze, skotnicy, bartnicy, kołodzieje, rataje, cieśle, korabnicy (wyrabiali łodzie), myśliwi, szczytnicy (wyrabiający tarcze dla drużyny wojennej), grotnicy i t. p. Każda osada naroczników dostarczała przepisanej ilości swych wyrobów na najbliższy gród, skąd znowu inna służba rozwoziła te rzeczy na miejsce wskazane, gdzie na którym grodzie czego potrzebowano. Wielka ilość takich osad narokowych dała początek wsiom, noszącym do dnia dzisiejszego odpowiednie nazwy.

Narocznicy mieli wyznaczoną ziemię na swe utrzymanie; mogli tam gospodarować sobie według własnego upodobania i rozumienia, ale nie wolno im było osady opuścić samowolnie. Taki był w Polsce początek ludności niewolnej, czyli przypisanej do ziemi. Byli to pierwotnie ludzie obcy, nie należący do społeczeństwa polskiego, nie pozostający w żadnych związkach z polskim ustrojem rodowym. Były to ofiary twardego ówczesnego prawa wojennego. I tak powodziło się jeńcom wojennym w Polsce lepiej, niż w innych krajach, gdzie jeniec stawał się własnością prywatną tego, kto go pojmał, a brało go się w niewolę poto, by go sprzedać żydom, trudniącym się w całej Europie wówczas handlem ludźmi. Zobaczymy, w jakich okolicznościach miał ten żydowski handel dotrzeć później do Polski i jakiego w Polsce doznał od razu ograniczenia.

Pozostaje to w związku ze zmianami, przez jakie przechodził ustrój społeczny i rozwój gospodarczy w pierwszej połowie wieków średnich Polski piastowskiej.

Czem liczniejszy był ród, tem uboższymi bywali zazwyczaj jego członkowie („rodowcy“). Jeżeli siedziały blisko siebie dwa lub trzy rody, mające liczne potomstwo, złożone tedy z licznych rodzin, natenczas osadnictwa ich musiały się niebawem spotkać z sobą, poczem nastawały nieraz walki o granicę, którą trzeba było koniecznie oznaczyć za porozumieniem starostów rodowych, a gdy ci nie mogli się pogodzić, należało to do króla, który nad wszystkimi był panem (tj. do sądu królewskiego). Potrzeba wyznaczania granic stawała się tem pilniejszą, gdy władza państwowa (książęca, królewska) rozrzucała po całym kraju osady naroczników, którzy także się rozradzali i z ziemi żyć musieli.

Wtedy przyjęła się zasada, że ziemia niczyja jest ziemią królewską. W tem oto początek polskich „królewszczyzn“, tj. dóbr państwowych. Zasada ta konieczną była dla porządku; odtąd nikt już nie miał prawa tworzyć nowe osady, tylko sam król, lub ten, kogo król do tego upoważni, udzielając mu **n a d a n i a**.

Król hojnym bywał szafarzem i ziemi nie skąpił, dawał jej dla proszącego i jego potomnych „na wyrost“, widząc w nim założyciela nowego rodu na przyszłość. Można powiedzieć, że szczęście sprzyjało tym, którzy w owych czasach popadli w biedę. Biedak, nie mający już gdzie orać u swego rodu, mógł być wówczas dostać od monarchy ziemi dla siebie więcej, niż jej miał cały ród, z którego wyszedł. Z ubożuchnego mógł stać się naraz panem, jeżeli posiadał wytrwałość, odwagę i przedsiębiorczość. Bez tych przymiotów największe nadanie nie zdałoby się na nic. Król dawał ziemi sporo, ale nieuprawnej, niezagospodarowanej, bez chaty i bez drogi. Trzeba było popracować i mozolić się długie lata, zanim nadanie dawać mogło plony. Ale też w końcu z niejednego takiego nadania wyrosła rodzina wielmożów! Tak jest, niejeden wielki pan następnych wieków zawdzięczał swoją wielmożność temu, że przodek jego miał odwagę pójść sam w nieznane strony, na pustkowie, na którym z początku nie miał nawet zagadać do kogo.

Własność pochodząca z nadania królewskiego była osobistą własnością tego, kto nadanie otrzymał i krewnym rodowcom nic do niej. Nie trzeba było długiego czasu na to, żeby się przekonano, że własność osobista lepszą jest od wspólnoty rodowej; toteż każdy zdatniejszy, śmielszy i roztropniejszy dążył do takiej własności. Rozmaitemi drogami i sposobami dążono do wyzwolenia się od ograniczeń organizacji rodowej i jej wspólnoty, aż w wieku XII własność osobista (czyli indywidualna) stanowczo już przeważała.

Monarchowie, czyniąc nadania, zaczęli nakładać warunek, żeby z takiej majątności wyruszał na każdą wyprawę wojenną zbrojny, uzbrojony własnym kosztem; jeden, dwóch lub więcej zbrojnych, stosownie do wartości majątku ziemskiego. Nazywało się to nadaniem na prawie żołnierskiem (*ius militare*). Ci wszyscy tedy, którzy ziemię od króla otrzymali, i potomstwo ich, wytworzyli z czasem osobny stan ziemiańsko-żołnierski, związani ściślej od innych z osobą królewską, będąc króla towarzyszami wojennymi, rycerstwem jego.

Czem bardziej jednak własność stawała się osobistą, tem większe musiały nastawać różnice majątkowe; było to nieuniknionem. Ale wobec prawa nie różnił się najbogatszy wielmoża niczem od najuboższego wolnego gospodarza. Moznaby raczej powiedzieć, że wobec prawa chudopachol-kowie właśnie, którzy pozostali we wspólnocie rodowej, byli właśnie czemś więcej, niż ci, którzy dobili się fortuny przez nadania, bo tamci mniej dźwigali ciężarów państwowych. Po staremu dawali komornikowi książęcemu na gród miarkę owsa lub kruszę miodu, płacąc „podatek w naturze“, podczas gdy ci musieli odbiegać majątności i ruszać na wojnę. Tak-to wyrastają ponad głowy innym tacy, którzy w chwili stanowczej nie zawahają się przyłożyć rąk śmielej i wziąć większy ciężar na swe barki. Ci, którzy z prawa rodowego przeszli na prawo żołnierskie, bywali wywyższani przez króla, doszli do szczytów, dorobili się większych majątków i zaczęli społeczeństwu przodować.

Zmieniał się stopniowo ustrój społeczny. Pierwotnie gospodarstwo a wojenka były zupełnie od siebie oddzielone, później zaś miecz i pług łączyły się coraz częściej w jednym ręku. Któż jednak miał gospodarować, gdy ci gospodarze wyruszą na wojnę? Zaczyna się tedy u bogatszych kupno prywatnego niewolnika u Żydów. Niewolnicy ci nie byli jednak parobkami, pracującymi na roli według planu i wskazówek właściciela. Nie było jeszcze gospodarstwa folwarcznego. Niewolnikowi takiemu wydzielał pan kawał ziemi, nie na własność, lecz na służbę, z poleceniem, ażeby na niej polował, chwycił bobry, łowił ryby, podbierał barcie, lub też żeby orał, z przykazaniem, ażeby to oddawał panu, lecz żeby i on sam miał prawo pożywić się przy tem. Z czasem nastął w tych stosunkach porządek dokładniejszy i lepsza kontrola: niewolnikowi oznaczało się, ile ma oddać panu, a co zyskał pracą swą ponad to, to było jego. Pan starał się niewolnika takiego przywiązać do siebie, żeby mu nie zbiegł, dbał o zdrowie i dobro swych niewolników, bo to był fundament jego majątku. Toteż w Polsce niewolnika tylko kupowano, ale nie sprzedawano nigdy. Handel ludźmi kończył się w Polsce i Polska nigdy w nim czynnie nie uczestniczyła.

Skąd pochodził ten nowy niewolnik, prywatny i kupny? Z rozmaitych krajów zwozili go Żydzi, ale głównie z Rusi.

Na wschód od Polski jest Ruś, największy kraj ze wszystkich słowiańskich, zamieszkały przez kilkanaście ludów, które nigdy nie zdołały wytworzyć porządnego państwa, wśród których poczucia narodowego nawet nie było; jest ono za naszych nawet czasów słabsze na Rusi, niż gdziekolwiek w Słowiańszczyźnie.

Ruś była pierwotnie krajem nader ubogim. Polska była bogatą w porównaniu z Rusią. Nadzwyczajnem ubóstwem tłumaczy się to, że właśnie na Rusi kwitnął najbardziej handel niewolników — lecz tylko jednostronny. W przeciwnieństwie do Polski, gdzie niewolnika tylko kupowano, lecz nie sprzedawano, na Rusi sprzedawano go tylko, ale nie kupowano. Nikt tam niewolnika nie posiadał, lecz sami często oddawali się w niewolę zjeżdżającym na Ruś kup-

com chazarskim i bułgarskim z nad Wołgi, a następnie żydowskim; żeby sprzedani dalej, najczęściej na wschód muzułmański, mogli poprawić sobie dolę. Przed głodem uciekali sami do niewoli! Rozpowszechniła się zwłaszcza sprzedaż młodych chłopców, poszukiwanych w Bizancyum i w muzułmańskich kalifatach Azji. Handlowali Żydzi tym żywym towarem wschodnio-słowiańskim po całym świecie, od Hiszpanii aż do Azji środkowej; handlowali nim także w Polsce, głównie do Wielkopolski, jako do najzasobniejszego kraju polskiego, gdzie najwięcej było gospodarstw takich, które niewolnika potrzebowały i które stać było na kupno siły ludzkiej. W Wielkopolsce jest też stosunkowo najwięcej nazw geograficznych, wskazujących pochodzenie ze wschodniej Słowiańszczyzny.

Po pewnym czasie wzbogaciła się wielce Ruś północna na handlu, a zwłaszcza kupcy z miasta Nowogrodu Wielkiego. W najstarszym ustawodawstwie nowogrodzkim są już niewolnicy, zwani *r a b a m i* i *c h o ł o p a m i*.

3. Czynszownicy, dzierżawcy, gbury i szlachta.

Niedługo trwał stan niewolny w Polsce. Przeciwny niewoli był Kościół, bo prawo kościelne nie zna niewolników. Kupno niewolnika przez osobę duchowną do dóbr kościelnych było zawsze właściwie wykupieniem go z niewoli. Wykupiony zabierał się chętnie do pracy w majątku kościelnym, rad, że go losy zawiodły do dóbr duchownych, bo z rozmaitych przyczyn powodziło się ludności pracującej na cudzej roli, właśnie w duchownych dobrach najlepiej (dobra te były długo wolne od podatków i świadczeń na rzecz państwa).

Pod wpływem Kościoła poczęto znosić całkowicie niewolnictwo. Zaczęło się to od nadawania przez książąt piastowskich wolności narocznikom. W dobrach kościelnych obmyślono też najpierw nowy sposób urzędzenia stosunków prawnych byłej niewolnej ludności: przechodzili z niewolników na czynszowników. Stawali się osobiście

wolnymi, a ziemię otrzymywali jakby w dzierżawę, w zamian za pewne świadczenia, głównie za czynsz. Czynsz kościelny wynosił zaledwie dziesiątą część plonu. Jest to t. zw. dziesięcina, która stać się miała potem powszechnym podatkiem na rzecz Kościoła, rozpowszechniając się od wieku XIII coraz bardziej.

Około roku 1220 niema już w Polsce niewolników prywatnych.

Niebawem miał polski ustrój społeczny i państwowy doznać gwałtownego wstrząśnienia przez najazdy tatarskie (pierwszy w r. 1224). Niedarmo współcześni porównywali je do przelotu szarańczy. Kraj wyglądał jak pustynia. Klęska była tem dotkliwsza, że pędzili pojmaną ludność całemi tłumami w niewolę na Wschód, gdzie odtąd zaczyna się handel także polskim niewolnikiem. I to stanowiło klęskę najcięższą, bo kraj był „jassyrem“ strasznie wyludniony. Brakło rąk do pracy i całe obszary pozostały bez dziedziców. W pustynnym i wyludnionym kraju przepadł cały porządek, rwała się cała organizacja. Jak dojść, kto po kim ma dziedziczyć, kto zginął w walce, kto do jassynu się dostał, który grunt zupełnie bezpieczny, a do którego może się jeszcze ktoś zgłosić? A gdy się zgłaszał, jak się przekonać, czy słuszny jego wywód do dziedzictwa, skoro przepadli bez wieści jego rodowcy lub sąsiedzi, którzy mieli być współdziedzicami i świadkami? Musiano zaprowadzać porządek na nowo, na nowo oznaczać właścicieli i granice posiadłości. Władza książęca — (Polska rozdzielona była wówczas na księstwa dzielnicowe) — musiała zająć się na nowo sprawą osadnictwa, bo przybyło nagle dużo ziemi, uważanej za niczyją, do której nikt się nie zgłaszał.

Dawne osady niewolne nadawali książęta hojnie klasztorom i swemu rycerstwu. Znika reszta naroczników. Znaczna większość pozostałych po tatarskiej nawale wolnych właścicieli ziemi rycerzami się staje, biorąc gromadnie książęce nadania. Ci musieli się nieraz pilnować, żeby ich nie pomieszano z wyzwolencami, tj. z uwolnionymi z niewoli narocznikami. Ta warstwa wyzwolenców, potomków naroczników, była już spolszczona, przyjęła polską mowę,

zwyczaj i obyczaj, połączona po wielokroć z rodzimą polską ludnością związkami małżeńskimi, ale pochodzenie ich znać było w tem, iż oni do żadnego r o d u nie należeli, bo „rody“ składały się tylko z potomstwa ludności od początku polskiej.

Książę nie miał żadnego interesu w tem, żeby wyzwoleńców i ich potomstwo utrzymywać w warunkach gorszych, a pragnąc zagospodarować kraj na nowo jak najprędzej, gotów był nieraz przyznać wyzwoleńcom prawo do posiadania ziemi na równi z rodowcami. Tak np. mamy wiadomości o takim zrównaniu wyzwoleńców z wolnymi w historii wsi Łagiewników pod Krakowem, Bartodziejów na Kujawach i t. p. Z końcem XIII-w. spotykamy się w Polsce z nadawaniem ziemi na wieczyste posiadanie potomkom naroczników. Z potomków niewolników powstawały tedy nowe r o d y, rządzące się dawnym prawem rodowym rodowitych z dziada pradziada Polaków. To, co dla ludności rodzimej było już staroświecczyną: wspólnota rodowa, zaczyna się na nowo organizować wśród znacznej części wyzwoleńców, osiadłych na ziemi. I tak skutkiem najazdu tatarskiego przedłużyła się w Polsce organizacja rodowa na roli.

Zmieniły się okoliczności życia na roli pod wielu a wielu względami skutkiem najazdu tatarskiego. Podczas gdy np. przedtem łaska książęca i służba wojskowa były jedynym sposobem, żeby się wydobyć z przeludnionej wspólnoty rodowej i dojść do osobistego dobrobytu, po najeździe zmieniło się to skutkiem wyludnienia i było niemało takich, którzy nagle zostawali bogaczami bez łaski księcia i nie potrzebując już przechodzić na „prawo żołnierskie“. W niejednej okolicy nikt nie został z miejscowych rodów, a wszędzie ubyła niemal połowa rodowców. Pozostali dziedziczyli po tych, którzy zaginęli i gdzieś tam kilku ledwie pozostało i ci posiadli całą posiadłość rodową, a gdzie jeden tylko pozostał, stawał się właścicielem wszystkiego. Nie trzeba było dopraszać się łaski książęcej, a i nie każdy miał ochotę chodzić na wojnę. Wystarczało znowu dla wszystkich ziemi obficie!

Brak rąk roboczych zachęcał teraz na nowo do wspólnoty gospodarskiej. W niejednym wypadku stawała się ta wspólnota na nowo potrzebną, i to nietylko przydatną, ale wręcz konieczną, żeby ręka rękę wspierała.

Bywały wypadki, że pozostali przy życiu członkowie rodu, nie mogąc sami obrobić wszystkich swoich gruntów, puszczali część w dzierżawę i to rozmaicie, na daniny w naturze lub czynsze i ten dochód z dzierżawy był wspólną ich własnością rodową. Przed najazdem tatarskim zdarzali się tacy dzierżawcy tylko u wielmożów, a teraz miał ich niejeden taki, który niedawno miał ziemi sam dla siebie za mało. Przesadzano się też wzajemnie w podawaniu dzierżawcom warunków jak najkorzystniejszych, żeby tylko dostać dzierżawców, bo inaczej większa część posiadłości byłaby pozostała pustką niezagospodarowaną. Toteż jeżeli dla kogo nastąpiły złote czasy, to z pewnością dla takich dzierżawców. Garnął się więc do roli każdy wyzwoleniec.

Pod wpływem wielmożów i rycerstwa musieli jednak książęta miarkować się w swej łaskawości dla wyzwolenców. Pojawiają się w dokumentach zastrzeżenia, żeby potomkowie niewolnych, osadzani na nowo na ziemi, nie rościli sobie prawa do swobodnego dziedzictwa. Gdy rycerstwo polskie poczynало coraz bardziej trudnić się gospodarstwem, chciało też posiąść ziemi jak najwięcej, żeby na niej dzielać potem gospodarstwa swoim osadnikom.

Kto dostał ziemię wprost od księcia, ten zrobił szczęście. Kto ją dostawał od wielmoży, od rycerza, na razie nie miał się pod względem majątkowym gorzej od tamtych, ale dawał początek nowej warstwie ludności, ograniczonej pod względem prawnym, a która potem miała się znaleźć w gorszych też stosunkach materialnych.

Na razie było ziemi wolnej tyle, że można było dostać gospodarstwo za bądźco. Rycerz prawie nigdy nie miał już niewolników po tatarskim najeździe: pod tym względem czasy zmieniły się zupełnie. Ponieważ nie miał mu kto ziemi obrobić, dawał ją przeto każdemu, kto tylko się zgłosił i nie żądał za to nic więcej, jak tylko trochę pomocy podczas żniw i sianokosów. Dawano kawał ziemi

na wyłączny użytek osadnika, jeżeli wzamian za to zgodził się trzy dni żąć, a jeden dzień wiać i młócić na gospodarstwie rycerza. Wiadomość taką mamy z r. 1254. W następnym roku stanęła umowa jeszcze łagodniejsza: jeden tylko dzień (w roku całym!) żąć i jeden kosić! Z roku 1280 posiadamy dokument, w którym właściciel ziemi żąda tylko, żeby mu każdy osadnik przez dwa dni w roku kosił i zwoził siano. Któżby z bezziemnych nie przystał na takie złote warunki? Za dwa do trzech dni robocizny na cały rok dostatni chleb dla siebie i rodziny! Toteż opustoszały dawne osady targowe, upadły rzemiosła, wyludniły się podgrodzia (zawiazki miast: osady pod grodami), bo wszystko garnęło się do ziemi, o którą było tak łatwo! Wznosiło się też znowu gospodarstwo rolne, ale miasta po tatarskim najeździe nie odradzały się, lecz upadały do reszty.

Osadnika rolnego ciągle było za mało, więc sprowadzało go się z obczyzny, głównie z Niemiec. Zaczęli napływać tysiącami, tembardziej, że w Niemczech nastaly czasy niespokojne, niedobre dla gospodarstwa. Takie tam panowały nieporządki, że żaden z możniejszych i poważniejszych książąt nie chciał nawet być królem niemieckim, ni cesarzem (bezkrólewie niemieckie 1246—1272). Nie było tam wtedy żadnego prawa; kto był silniejszy, robił ze słabszym, co chciał. Powstało osławione niemieckie „prawo pięści“ (Faustrecht); silniejsza pięść dyktowała, co miało być prawem. Zakwitnęły grody „rycerzy-rabusiów“ (Raubritter) i oni stanowili prawdziwą władzę. Ludność uciekała też tłumnie z Niemiec, a gdy najazd tatarski Polskę wyludnił, emigracja niemiecka zwróciła się całą ławą do nas. Książęta byli im radzi, żeby kraj szybciej zagospodarować na nowo.

Obowiązywała w owych czasach zasada, że każdy ma się rządzić swoim prawem, t. j. tem prawem, wśród którego wzrósł, prawem społeczności i stanu, z którego pochodzi. Nie wymagano tedy, żeby niemieccy goście wprowadzili pomiędzy siebie prawo polskie. Właściciel ziemi wymawiał sobie tylko wynagrodzenie za dzierżawę, a zre-

szta zostawiano tym ludziom zupełną swobodę i dano im s a m o r z ą d, żeby się sami między sobą zarządzili swoim prawem niemieckiem, saskiem czy szwabskiem. Polscy dzierżawcy mogli uznać właściciela ziemi np. swym sędzią, bo on sądziłby ich według polskiego prawa; ale trudno było być sędzią nad Niemcami, nie znając ich prawa. I dla właściciela wielką była z tem wygoda, że nie miał ze swymi dzierżawcami żadnych kłopotów, prócz pobierania czynszu, że go nic nie obchodziło, kto w osadzie z kim się pobił, kto po kim między nimi co dziedziczy i t. p. Dla dzierżawców też wygodniej było i przyjemniej, że się mogli sami rządzić.

Samorząd dogadzał obydwom stronom, toteż zaczęto wkrótce dużo wsi polskich przenosić umyślnie na „prawo niemieckie“, czyli na „prawo gości“. Znaczyło to, że pozostawiało się ich sprawy familijne i majątkowe ich własnemu samorządowi, że właściciel ziemi (książe, biskup, opat, rycerz) nie zamierza się w to mieszać.

Powstała tedy — ze swoich i z obcych — nowa a coraz liczniejsza warstwa społeczna dzierżawców. Oni to są przodkami ludu wiejskiego w Polsce.

Byli zupełnie wolni; mogli zamieszkać gdzie chcieli, i robić co chcieli, a względem właścicieli mieli tylko te obowiązki, o które się umówili, biorąc dzierżawę. Kto się dorobił, kto miał pieniądze, mógł sobie ziemię kupić i sam zostać właścicielem; żadne prawo tego nie wzbraniało. Mógł się też przenieść z jednej dzierżawy na drugą, w inne strony, gdzie mu się zdawało lepiej, byle tylko uczynił zadość obowiązkom dzierżawnym u poprzedniego właściciela. Powstały też potem wyraźne przepisy, co do warunków rozwiązania dzierżawy. Nie umawiano się bowiem w owych czasach, na ile lat ma być dzierżawa, lecz przyjmowało się zawsze domysł, że dzierżawa ma być wieczystą i dziedziczną — i tak też z reguły bywało. Właściciel rad był, że ma kogo na roli, a dzierżawca miał wszelkie ułatwienia, żeby tylko siedział na miejscu i nie przenosił się gdzieindziej. Spory zdarzały się tylko wyjątkowo; potem

dopiero, znacznie później, gdy kraj się już zaludnił, gdy znowu trudniej było o ziemię, niż o ludzi, okazała się potrzeba przepisów prawnych do oznaczenia, pod jakimi warunkami wolno dzierżawę opuścić.

Niemieccy osadnicy wjejscy nazywali sami siebie w swoim języku „gebuer“. W tym wyrazie wymawia się *e* tylko z lekka, bardzo mało, tak, że w wymowie nie znający niemczyzny Polak rozumiał „gbur“ i stąd nazwa „gburów“, rozpowszechniona dotychczas w Prusiech Królewskich (na Pomorzu), a używana do niedawna i na Górnym Śląsku. Nazwa ta przyjęła się właśnie tam, gdzie urzędy były niemieckie (pod zgermanizowanymi książętami śląskimi i pod Krzyżakami); nasze polskie urzędy nazywały ich zawsze „gośćmi“ lub „przybyszami“ (hospites, advenae). Wyraz „gebuer“ znaczył po prostu: włościanin — to samo, co w nowszym języku niemieckim „Bauer“, który to wyraz pochodzi od tamtego. Niemieccy osadnicy nazywali „gburami“ nietylko siebie, ale również polskich dzierżawców, jako ludzi tego samego stanu. Ponieważ wówczas w żadnym urzędzie nie pisywało się jeszcze po polsku (tylko po łacinie), nie wiemy zgoła jak w polskim języku nazywano tych dzierżawców, którzy nie byli przybyszami z zagranicy, lecz z Polski pochodzili, w Polsce z polskich rodziców urodzeni. Nie wiemy tedy, jak owi założyciele stanu włościańskiego sami siebie nazywali. Wyraz „chłop“ nie był jeszcze używany.

Nie wiemy również, jak nazywali sami siebie właściciele ziemscy, w przeciwstawieniu do swych dzierżawców. Znamy tylko nazwy niemieckie i tych i tamtych; taki jest zbieg okoliczności. Niemcy dostrzegli, że właściciele należą do starych organizacji rodowych i że dzierżawcy polscy nie mają z nimi związku rodowego, i że dopiero zaczynają tu i ówdzie organizować się na wzór tamtych. Nazywali więc Niemcy właścicielei całkiem słusznie „rodowcami“, co mówiło się w ówczesnym niemieckim języku „słahhta“. Z „gebuer“ zrobił się polski wyraz „gbur“ — a ze „słahhta“: szlachta. Szlachtą nazywali wszystkich, którzy tylko posiadali ziemię na własność; tych zaś z pomiędzy szlachty,

którzy mieli ziemię na prawie wojskowem, zwali rycerzami.

Takie były stosunki i taka różnorodność wśród wiejskiej ludności. Co tylko ocalało z pogromu tatarskiego, jęło się pracy przy gospodarstwie wiejskiem. O przyszłość wsi polskiej nie byłoby kłopotu i bez Niemców. Wieś nigdy nie zaginie, bo ludzie najchętniej garną się do ziemi-żywicielki i wtenczas dopiero myślą o innych sposobach do życia, gdy gruntu nie może już starczyć dla wszystkich. Dlatego też Polska była zawsze krajem przeważnie rolniczym, bo za mało miała ludności na tak duże kraje, żeby móc wytworzyć należycie te wszystkie warstwy społeczne, które są potrzebne, ażeby potęgą narodu rozwinęła się wszechstronnie. Za mało nas było po najeździe tatarskim, a później — niestety — znowu miało nas być za mało w stosunku do posiadanych wielkich obszarów kraju. Nie dopisywała nam: gęstość ludności.

4. Ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego. Kmiecie i sołtysi.

Wśród takich stosunków organizacji społecznej dokonywał się zrost dzielnic piastowskich w nowe królestwo polskie. W trudzie pokoleń całych, uwieńczonym dwiema koronacjami, Przemysława w r. 1295 i Władysława Niezłomnego (Łokietka) w r. 1320, brały udział obie warstwy rolnicze, nie tylko sama szlachta. Wszak to lud prosty brał czynny udział w przepędzaniu czeskich zaborców, a król Władysław, gdy musiał ukrywać się przed czeskimi starostami, krył się w chatach włościańskich dzierżawców w okolicach Wiślicy i strzeżony był przez włościańskie straże w grotach Ojcowa. Przyczyniając się do dobra Ojczyzny, dopomagając stronnictwu narodowemu, którego przodownikiem i wykonawcą był Władysław Niezłomny, pozyskał sobie stan włościański zasługi obywatelskie.

Syn Władysława Niezłomnego, król Kazimierz Wielki, zasłużył sobie stokrotnie na swój zaszczytny przydomek, a nadano mu potem inny jeszcze, zwąc go „królem chłopków“.

Kazimierz Wielki ujął w swe zdolne ręce ster społeczeństwa. Czasy zmieniły się znowu i wymagały nowej organizacji społecznej i państwowej.

Za jego ojca okazało się, że Polska nie posiada dostatecznej siły zbrojnej do skutecznej walki z Krzyżakami. Dawne urzędy wojskowe przestarzały się już stały i nie dopisywały. Za Kazimierza W. postanowiono (na wiecach prawodawczych w Piotrkowie i Wiślicy), że każdy, kto posiada ziemię na własność, musi być żołnierzem, bez względu na to, czy ją posiada z nadania książęcego, czy też wywodzi tytuł własności tylko z prawa rodowego. Stała się zasada, że kto chce ziemię posiadać, ten jej też sam musi bronić. Zwiększyła się przez to ilość żołnierza, bo spadł ciężar służby wojskowej także na wszystkich takich właścicieli, którzy dotychczas nie byli do niej zobowiązani, nie wziąwszy nigdy od księcia żadnego nadania na prawie żołnierskiem.

Znikała tedy różnica między szlachtą rycerską a nierycerską. Odtąd każdy szlachcic na ziemi osiadły był zarazem żołnierzem, rycerzem; choćby nie chciał, musiał nim być. Wyrażenie „szlachcic“ znaczyło dotychczas tyle tylko, co „rodowiec“; odtąd zaś to samo, co „żołnierz“. A więc odtąd „prawo żołnierskie“ znaczyło zarazem to samo, co „szlacheckie prawo“, gdyż obejmowało już całą szlachtę, wszystkich rodowców. Skoro zaś nie było w Polsce innych żołnierzy, jak tylko właściciele ziemscy, więc zwali się też „ziemianami“. I tak utarły się na oznaczenie tej warstwy społecznej trzy wyrażenia: rycerstwo, ziemianie, szlachta. Członkowie tej warstwy byli bowiem wszyscy ziemianami, wszyscy rycerzami, a w olbrzymiej większości zarazem potomkami dawnych polskich rodów, czyli, jak potem się mówiło, „urodzonymi“.

Drobna tylko część rycerstwa ówczesnego nie była

„szlacheckiego“ rodu, a mianowicie kmiecy właściciele ziemi i sołtysowie.

Wyraz „kmieć“ zmieniał znaczenie swe w historii języka polskiego. Za Kazimierza W. czasów ustaliło się znaczenie nowe, a mianowicie nazywano kmieciami dzierżawców ziemskich, a więc tych właśnie gospodarzy, od których pochodzi lud polski. Jeżeli taki dzierżawca dorobił się za możności i kupił sobie ziemię na własność, stawał się ziemianinem, musiał chodzić na wojnę, a więc zostawał rycerzem, chociaż nie był szlachcicem. Było takich wielu i nazywani są w ustawach i w aktach publicznych wyraźnie „żołnierzami z kmieci“ (po łacinie miles e cmethone).

Obok nich są też inni jeszcze nieszlachcice, „żołnierze z sołtysów“ (miles e sculteto).

Sołtys — był to pierwotnie przedsiębiorca, werbujący i dostarczający osadnika. Zawierał taki „osadźca“ formalną umowę, że sprowadzi osadników, a w zamian za to zastrzegał sobie i swym potomkom znaczne korzyści. Wyrobiło się prawo zwyczajowe, że „osadźca“ otrzymywał szóstą część wszystkich gruntów nowej osady na własność dziedziczną, prawo pobierania części opłat i kar (grzywien) sądowych, tudzież monopol na karcznię i młyn, tj. że tylko jemu i jego potomkom wolno było w osadzie szynkować i mleć. Ponieważ nowe takie wsie posiadały samorząd, był w każdej wsi sąd, złożony z ławników; naczelnikiem zaś wsi, przewodniczącym ławników i głównym sędzią był ów osadźca, jako sołtys. Sołectwo było dziedziczne.

Ponieważ sołtys posiadał ziemię na własność, obowiązany był wyruszać na wojnę; był także rycerzem.

Król był zwierzchnikiem wojska i jedynym szafarzem krwi tych zastępów. Wszelka szkoda, wyrządzona żołnierzowi, uważaną była za szkodę państwa, czyli, jak wówczas mówiło się, za szkodę króla, jako uszczerbek siły wojennej państwa i dlatego trzeba było wynagrodzić ją nie tylko skrzywdzonemu i jego rodzinie, ale też państwu. Tem się tłumaczy, że za zabicie lub zranienie żołnierza kary były cięższe, niż za kmiecia, nie należącego do organizacyi wojskowej

(kto bowiem nie posiadał ziemi na własność, wolny był od służby wojennej).

Wśród samych zaś żołnierzy nie wszystkich jednakowo szacowano. Była w prawie ówczesnem zasada, że za każde przewinienie ponosi się karę na majątku, tj. płaci się grzywny karne. Za zabicie „żołnierza z kmiecia“ płacono się karę 10 grzywien.

Sołectwo było urzędem dziedzicznym; ale podczas gdy gruntami sołtysa dzielili się wszyscy jego synowie, sprawowanie urzędu sołectkiego przejść mogło tylko na jednego z nich, ten też tylko był sołtysem i on tylko obowiązany był przed ustawodawstwem Kazimierza W. do służby wojennej; odtąd zaś wszyscy synowie sołtysa zostawali żołnierzami, boć wszyscy posiadali ziemię na własność. Głowa „żołnierza ze sołtysa“ szacowaną była wyżej, niż „żołnierza z kmiecia“: na 15 grzywien. Potem zatarła się pamięć pochodzenia i potomek sołtysa lub kmiecia był na własnej ziemi tak samó szlachcicem, jak inni.

Trzeci stopień szlachectwa, to ci, którzy mieli ziemię z nadań książęcych, lub rodowe swe dziedzictwo zamienili na nadaniowe i dawno już przyjęli byli obowiązki wojskowe. Znaczna ich część miała na to „szpargały“, tj. dokument królewski lub książęcy. Zwano takich z łacińska *scartabelli*, a za głowę ich trzeba było zapłacić podwójnie, tj. grzywien 30.

Wreszcie potomkowie dawnych uczestników wypraw pierwszych Piastów, już niemal wszyscy wielmożowie, a żołnierze pełni tradycyi wojennej, rosnący z pokolenia w pokolenie w dostojenstwie i zaszczyty, szacowali swą własną głowę na grzywien 60.

Ta nierówność szacunku życia ludzkiego nie wynikała bynajmniej z dzielenia ludzi na „zacniejszych“ i „podlejszych“ według urodzenia; nie trzeba tego wcale uważać za dowód jakiejś pogardy dla „żołnierza z kmiecia“, że głowę jego szacowało się sześć razy niżej od głowy wielmoża. Szacowało się tych żołnierzy rozmaicie dlatego po prostu, że rozmaita była wartość ich służby wojskowej. Obowiązek ten ciążył bowiem właściwie nie na osobie, lecz na ziemi.

Gdy szlachcic pozbył się ziemi, wolnym był od wojska; stawał się natomiast żołnierzem kupiec, rzemieślnik, czynszownik, potomek naroczніка, jeżeli nabył ziemię na własność. Nie od osoby samej to zależało, lecz od posiadłości.

Nie jednakowo też ponoszono ciężary wojskowe, ale rozmaicie, w miarę posiadłości. Jeden brał konia i łuk i tak ruszał na wojnę; drugi musiał wyruszać z całą zbroją, trzeci musiał jeszcze dostawić drugiego żołnierza, a czwarty uzbroić pięciu, dziesięciu nawet wyszukać ochotników, uzbroić ich i żywić na wojnie własnym kosztem. Im więcej posiadał kto ziemi, tem więcej musiał przyczyniać się do jej obrony, jak słusznosc tego wymagała.

Nie za osobę płacono więc owe grzywny nierównej wysokości, ale za zmniejszenie siły zbrojnej państwa. Rzecz prosta, że wielmoża wart był dla wojska królewskiego sześć razy więcej, niż uboższy kmieć. Przyjęto, że taki dostawia ze swych posiadłości średnio sześciu żołnierzy, dlatego płaciło się poszóstnie za niego.

W statutach wiślickich i piotrkowskich, uchwalanych za Kazimierza W., nietylko niema zgoła śladów żadnych wzgardy dla rodowców świeżo zamienionych w żołnierzy, lub choćby dla kmieci posuwających się przez nabycie własności do stanu żołnierskiego, ale przeciwnie: są tam przepisy, mające im ułatwić zlanie się z dawną żołnierską szlachtą, są środki przymusowe, żeby zatrzeć jak najprędzej pomiędzy nimi różnice urzędzeń prawnych i społecznych.

Część ziemian pozostała w tyle poza innymi skutkiem tego, że trzymała się starych urzędzeń rodowych. Osłabiały więc „statuty“ prawo rodowe szeregiem przepisów, a wszystkie takie ograniczenia dawnego prawa wychodziły na dobre ludziom nowej daty, pnącym się w górę.

Interes państwa wymagał kontroli, czy posiadłość jest własnością dziedziczną, ażeby nikt nie mógł usuwać się od powinności wojennej. Tę kontrolę wykonywała szlachta sama i wykonywać musiała w myśl zasady, że każdy musiał należeć do pewnego stanu, jeżeli chciał mieć opiekę

prawną nad sobą. Ktoby nie chciał być żołnierzem, musiał wystarać się dla siebie o prawo miejskie, albo przejść do czynszowego włościactwa, inaczej nie byłoby dla niego nawet sądu, przed którymby mógł uskarżyć się w razie pokrzywdzenia, bo każdy stan miał swoje własne sądownictwo. Nie było rzeczą łatwą przejść na prawo miejskie; o to trzeba było mieszczan prosić, a zresztą kto nie był kupcem lub rzemieślnikiem, nie miałby w miejskiej społeczności co robić. Kmieciej zaś własności ziemskiej bez służby wojskowej także już nie było. Wobec tego niemożliwym było wycofać się ze szlacheckich szeregów, jeżeli się równocześnie nie pozbywało własności. Tem się tłumaczy, że wśród szlachty wyrobiło się szybko poczucie stanowe, solidarność i pewna duma; stan ten stał się bowiem zwartszym od innych. Naodwrot, nietrudno było z miasta przejść na gospodarstwo wiejskie; nietrudno było zubożonemu czynszowemu włościacinowi nabyć własność ziemską i stać się żołnierzem z kmiecia. Nietylko tedy nie trzeba było kontroli nad tem, żeby szlachty nie ubywało, ale przeciwnie, trzeba było obmyśleć kontrolę nad ciągłymi nowymi przybytkami do stanu właścicieli ziemskich, żeby nowy właściciel pełnił także według prawa powinność wojenną.

Obok rycerstwa siedział na roli stan kmiecy, gospodarujący na dzierżawach, dziedzicznych, wieczystych. Dzierżawne bywało rozmaite, stosownie do umowy: czynsz, daniny ze zbiorów, robocizny kilku dni w roku, podczas sianozęcia i żniw. Jeżeli właściciel ziemi sam zajął się założeniem wsi na swych posiadłościach, sam był „osadźcą“ u siebie, natenczas nie było żadnej pośredniej władzy pomiędzy nim a sprowadzonym osadnikiem. Jeżeli zaś użył do tego pośrednictwa, natenczas sołtys stawał się władzą i urzędem, a właściciel miał tylko prawo do dzierżawnego.

Za Kazimierza W. mnożą się z roku na rok wsie samorządowe. Taki powszechny był prąd za tem, iż właściciele z własnego popędu ustanawiali sołtysów i kazali wybierać ławników. Nazywało się to „przeniesieniem na prawo niemieckie“. Mnóstwo wsi czysto polskich, w których nie było nigdy ani jednego Niemca, wsi starych, star-

szych od wszelkiego niemieckiego osadnictwa, zamieniało się na wsie „na prawie niemieckiem“.

W ten to sposób powstała nowa warstwa społeczna, a mianowicie lud polski.

Składał się on z najrozmaitszych żywiołów i gdyby dało się badać u dzisiejszego włościanina polskiego genealogię, tj. pochodzenie po przodkach, okazałoby się nieraz, że w jednej i tej samej okolicy prapradziad jednego był Polakiem, drugiego Niemcem, trzeciego Czechem, Węgrem, Rusinem, Prusakim, a tu i ówdzie nawet Tatarem.

Jeden pochodzi od starych polskich rodowców, drugi od niewolnych, trzeci od „gościa“ zagranicznego. W starych wsiach więcej było jednolitości, ale w nowszych osadach różnaitość wielka, boć brano ludzi do gospodarstwa, skąd tylko się zgłosili, a każdy był rad, że mu się trafia dzierzawca na kawałek gruntu.

Z tej mieszaniny rozmaitych żywiołów wytworzył się lud polski, a polski istotnie na wskroś przez to, że Kościół w Polsce przejęty był duchem narodowym, że właściciel wsi nie tylko Polakiem był, ale broniąc kraju własną krwią, wznosił się do pojęcia miłości Ojczyzny. Wśród samegoż ludu wiejskiego stali pod względem cywilizacyjnym najwyżej ci, którzy czy to z Polaków się wywodzili, czy też przynajmniej z rodzin od dawien w Polsce osiadłych. Wieś, w której przeważał żywioł polski, stała pod każdym względem wyżej od wsi założonej świeżo z obywateli i stawała się dla innych wzorem.

Osobno stały przez pewien czas wsie czysto niemieckie, osady emigracyjne szwabskie, frankońskie, turyńskie, bawarskie. Ale czas ten trwał krótko, bo nowe związki rodzinne, zawiązane w Polsce, polszczyły te wsie.

Cały lud wiejski był zupełnie wolny. Odkąd rozprzegł się dawny stosunek naroczników do grodów, odkąd państwo nie potrzebowało niewolników do swej organizacji grodowo-wojennej, zniknęła też niewola. Za Kazimierza W. nie było w Polsce niewolnego ludu; nie słyhać też zgoła o kupnie niewolników przez osoby prywatne. Widocznie udało się Kościołowi przejąć społe-

czeństwo polskie chrześcijańskim poglądem na świat, nie-dopuszczającym niewoli. Włościanie osiedleni w dobrach szlacheckich byli tam dzierżawcami gruntów i niczem innym. O żadnem poddaństwie ludu niema mowy w tym czasie.

Włościanin będący wolnym dzierżawcą, mógł tedy zmieniać dzierżawę, przenieść się w inne strony, lub całkiem porzucić zawód rolniczy, gdy mu się tak podobało. Prawo nie robiło pod tym względem ograniczeń innych, jak tylko takie, których wymagała słuszność i prosty rozsądek. I dzisiaj przepisuje prawo i przepisywać oczywiście musi, żeby odchodzący dzierżawca zostawił po sobie gospodarstwo w porządku; inaczej nikby gruntu nie puszczał w dzierżawę!

Ażeby tę sprawę ułożyć, wydano w r. 1347 ustawę na wiecu w Piotrkowie, że wolno opuścić grunt każdej chwili, jeżeli dzierżawca zapłaci trzy grzywny i umówiony czynsz roczny; 3 grzywny stanowić miały wynagrodzenie szkody, jaką ponosił właściciel przez opuszczenie roli, zanim sobie wyszuka nowego kmięcia. Zdarzało się, że dzierżawca trzech grzywien nie mając lub płacić nie chcąc, zbiegł bez oznajmienia, uciekł po prostu. Taki dzierżawca krzywdził właściciela w sposób dotkliwy. Postanowiono tedy na takich, że póki się z właścicielem gruntu nie ugodzą, nie mogą nigdzie indziej zawierać żadnej ważnej umowy i wyznaczono do tego termin całego roku. Jeżeli właściciel wiedział, gdzie zbieg przebywa, mógł na nim w ciągu całego roku dochodzić swych praw i żądać albo trzech grzywien, albo powrotu na grunt. Jeżeli zaniedbał uczynić tego w ciągu roku, uważano sprawę za przedawnioną i właściciel tracił prawo do wynagrodzenia. Rok ten liczył się jednak dopiero od czasu, w którym właściciel dowiedział się o miejscu pobytu swego dzierżawcy. Ustawa ta miała na celu przeszkodzić nieuczciwym dzierżawcom, żeby się nie przenosili z gruntu na grunt nie czyniąc nigdzie zadość swym zobowiązaniom.

We wsiach na prawie niemieckiem powinien był odchodzący kmięć obrobić rolę, obsiać oziminą i jarzyną, lub też dać na swe miejsce nowego dzierżawcę. Skoro już

obsiał, nie chciało mu się pewnie odchodzić; jeżeli się namyślił odejść, ponosił z pewnością stratę nie mniejszą od trzech grzywien przepisanych prawem polskim, bo zboże miało wówczas wartość bardzo wysoką.

W r. 1368 uchwalono na wiecu małopolskim w Krakowie, że porzucający grunt ma pozostawić połowę zasiewów; druga połowa była jego własnością, mógł ją tedy sprzedać, a sprzedawał zapewne samemu właścicielowi wsi. Poprzestano więc ostatecznie na wymaganiach mniejszych od prawa niemieckiego. Ale za to na szkodników zbiegających z gruntu bez ułożenia się z właścicielem, nałożono karę podwójną, bo aż sześć grzywien.

Każdy kmieć miał prawo opuścić grunt natychmiast, każdej chwili i bez jakiegokolwiek wynagrodzenia dla właściciela, całkiem się o niego nie troszcząc, jeżeliby właściciel skrzywdził na honorze jego żonę lub córkę, jeżeliby z winy właściciela wieś znalazła się rok pod klątwą, tudzież, jeżeliby podpadli z jego winy egzekucji sądowej. Tak postanowiono w r. 1346. Ale już następnego roku dodano jeszcze poprawkę, że za zobowiązania pieniężne lub jakiegokolwiek wogóle zobowiązania właściciela nie wolno przeprowadzać egzekucji sądowej na gruntach, które są wprawdzie jego własnością, lecz wypuszczone są w dzierżawę.

Wszystkie te prawa świadczą wymownie nietylko, że kmiecie byli ludźmi wolnymi, ale stwierdzają nadto, że stosunki prawne szlachty do ludu wiejskiego były oparte na słuszności i uczciwości prawnej. Ustawodawstwo Kazimierza W. broniło starannie ludu przeciw wszelkim nadużyciom. Gdy szlachta ruszała na wojnę, nie wolno było odbywać stacyi, tj. popasów, wycieczek, we wsi, lecz w polu za wsią, nie wolno było brać koni, bydła, trzody; należała się tylko żywność dla żołnierzy i pasza dla koni i to (powiada ustawa wyraźnie) umiarkowana pasza i żywność o tyle, o ile bez tego nie możnaby odbywać pochodu.

Głowę zabitego kmiecia oszacowało prawo na dzieśięć grzywien, z czego sześć przypadało krewnym nieboszczyka, a cztery grzywiny wynagrodzenia za ubytek siły

gospodarskiej kasztelanji w dobrach królewskich, biskupowi czy opatowi w kościelnych, właścicielowi wsi w dobrach szlacheckich.

Takie były za Kazimierza W. i w pokoleniach następnym stosunki dwóch warstw rolniczych w Polsce: kmiecej i szlacheckiej.

5. Pierwsze folwarki. Skup sołectw. Zagrodnicy.

Obie te warstwy społeczne tworzyły pod względem zarobkowym jeden stan: rolniczy, czyli ziemski. Wspólnie ich dotyczyło wszystko, co dotyczyło ziemi. Widzimy też w ustawach, że gdzie mowa o szlachcicu, zaraz też mówi się o kmieciu.

W innych krajach lud wiejski nie korzystał wcale z publicznej opieki prawnej, zdany w każdej wsi z osobna na łaskę i niełaskę właściciela; o ile zaś sam ziemię posiadał, nie tworzył wcale osobnego stanu, ani też do szlacheckiego przyłączony nie był. Włościanin nie należał za granicą wcale do organizacji państwowej.

Ponad warstwy rolnicze wybijał się majątkowo stan miejski; mieszczanin był za Kazimierza Wielkiego i aż do połowy XVI. wieku zamożniejszym od szlachcica (nie mówiąc o najbogatszej warstwie możnowładczej). Ziemia nie miała wielkiej wartości. Długo miała wartości ledwie na tyle, że można się było na niej utrzymać. Kto posiadał ziemi więcej, niż na własną potrzebę, rad był, gdy mógł ją innym, bezrolnym, wydzierżawić za skromnym czynszem; nikt zaś nie brał w dzierżawę więcej, jak znów tyle tylko, ile trzeba było na utrzymanie rodziny.

Nikt z kmieci nie dzierżawił nigdy więcej, jak jeden łan, tj. około 30 morgów, z czego 10 morgów stało zawsze ugorem. A nie bywało w XIV. wieku w jednej wsi więcej, jak 7 do 10 kmiecych gospodarstw. Sam właściciel zachowywał dla siebie jeden lub najwięcej dwa łany. Więk-

ksza część ziemi była i tak bagnem jeszcze i lasem. Właściciel, żołnierz-szlachcic, tyle miał dochodu ze swego majątku, ile zebrał czynszów kmiieczych.

Podniosła się produkcja zboża z rozkwitem miast za Kazimierza Wielkiego, a jednak według statutów tego króla opiekun składający rachunki z opieki, robił to tylko z trzód, ze stadnin i z czynszów; dochód ze zboża nic jeszcze nie znaczył. Nie mówiąc o wielmożach, dobry rzemieślnik w mieście był zamożniejszy od średniego szlachcica, posiadającego dwie lub trzy wsie.

Zaczyna się to zmieniać za Władysława Jagiełły, kiedy stanęła otworem droga handlowa do morza Czarnego poprzez Wołoszczyznę. Zaczyna się wywóz pszenicy do przystani czarnomorskich, skąd szła morzem Czarnem i Śródziemnym aż do Francji. Mąka stawała się w Europie coraz ważniejszym i powszechniejszym środkiem żywności. Zaczynały się lepsze czasy dla właścicieli ziemskich w Polsce.

Druga droga wywozowa była do Gdańska, a chociaż na niej od Torunia siedzieli wrodzy Krzyżacy, którzy dla siebie zagarniali lwią część zysków, jednakże bliskość Bałtyku wpływała korzystnie na podniesienie się rolnictwa w Wielkopolsce. Już w r. 1392 przyplłynęło do Gdańska przeszło 300 okrętów francuskich i angielskich po polską pszenicę.

Kupcy zbożowi kupiliby byli i dziesięć razy więcej ziarna, gdyby tylko Polska mogła go była dostarczyć. Chodziło więc teraz o to, żeby jak najwięcej gruntu obsiać na własny rachunek, nie poprzestając na skromnym dochodzie z czynszów; żeby samemu zyskać jak najwięcej na pomyślnym obrocie stosunków.

Przygotowuje się odtąd zwolna i stopniowo nowy okres w dziejach polskiego rolnictwa i stosunków ekonomicznych: gospodarstwo folwarczne. Okres przejściowy trwał długo, bardzo długo. Dopiero około roku 1550 można powiedzieć na pewno, że już w każdej wsi polskiej był folwark i to, co poczęto nazywać gospodarstwem dworskiem.

Za wzór postępowego gospodarstwa służyły dobra biskupie i klasztorne. Najwcześniej zaprowadzono gospo-

darstwa folwarczne w dobrach biskupstwa krakowskiego; czynsze kmiecie stanowiły tam już na początku XV. wieku dochód drugorzędny. Kiedy w r. 1404 zakładano folwark w Świątnikach pod Krakowem, nałożono na dzierżawców powinność uprawy folwarcznych gruntów, policzając tę roboczną za część należności za dzierżawione grunty. Było to podwyższenie opłaty dzierżawnej, nieznaczne zresztą w ówczesnych stosunkach. Folwark w Świątnikach nie był z początku duży, a ludność wsi tak starej (z naroczników katedry krakowskiej powstałej) liczna, a więc wypadło tej robocizny jak najmniej na pojedyncze gospodarstwo kmiecie. Kmieć świątnicki wolał to, niż podwyższenie czynszu dzierżawnego w gotówce.

Z tego to sposobu podwyższania należności dzierżawnej miała powstać kiedyś w przyszłości pańszczyźniana gospodarka.

Wartość ziemi w Polsce, zacząwszy się podnosić z końcem rządów Kazimierza W., rosła i rosła bez końca, aż do ostatnich czasów niepodległego państwa polskiego. Coraz więc gorzej musiało dźiać się tym, którzy się żywili na cudzej ziemi. Gdyby wartość ziemi była spadała, byłoby przeciwnie: byłoby coraz lepiej dla kmieci, a coraz gorzej dla właścicieli, tj. dla szlachty i także nie byłby nikt szlachcie na to poradził.

Na razie pogarszanie warunków dzierżawy było czemś jeszcze wyjątkowem. W dobrach duchownych kmieć ponosił zresztą chętnie większe ciężary, byle tylko zostać na ziemi kościelnej, co dawało mu rozmaite dogodności.

Na ogół dola kmiecia jeszcze nie tylko nie pogarszała się, ale nawet polepszała, jeżeli tylko miał w sobie przedsiębiorczość. Skoro teraz właścicielom pustych nieużytków zależało coraz mocniej na tem, żeby je zamieniać w orne pola, powstawały t. zw. „lgoty“ i „wole“ (których w Polsce pełno!), tj. nowe osady, nie płacące przez pewien szereg lat (średnio 15 lat) ani czynszów, ani żadnych danin w naturze. Powstał też rodzaj zawodowych kolonistów, przenoszących się z jednej „Woli“ na drugą.

Trudniejsze warunki można było z razu stawiać kmie-

ciom tylko na północy, ku Bałtykowi, i na południu koło Krakowa, gdzie mniej było nieużytków a ludność gęstsza.

Bądźcobądź, zanosilo się na pogorszenie bytu w kmiecym stanie skutkiem zmiany powszechnych warunków ekonomicznych. A właśnie lud wiejski poczynał się interesować ogólnemi sprawami Ojczyzny, a nawet bronić jej własną pierśią, czego dał przykład w bitwie pod Nakłem 1431 r.

Kiedy w r. 1431 szalał po północnych ziemiach polskich straszliwy najazd krzyżacki, najstraszliwszy ze wszystkich, a wojsko króla Władysława Jagiełły zajęte było na wschodzie, lud sam zabrał się do obrony. Pod wodzą starszych z wielkopolskiej szlachty, starszych wiekiem, którzy sami synami się już wyręczałi w służbie wojennej, obowiązani do niej osobiście nie będąc, a tylko z miłości Ojczyzny i z żalu nad utrapionym ludem dosiedli konia — zebrał się znaczny hufiec ludowy. Dzierżawcy szlacheckich żagonów, kmiecie i „gburowie“, zebrałi się pod Nakłem w Wielkopolsce, uzbrowieni w cepy i kosy. Tam napadli na oddział krzyżackiego wojska i zadali mu ciężką klęskę; odebrali jeńców, niewiasty i uprowadzane w niewolę dzieci, ubili mnóstwo żołnierzy i sześciu komturów, a do niewoli wzięli 50 rycerzy, dziewięciu komturów i marszałka inflanckiego, wodza tego oddziału. Był to świetny czyn wojenny, a bitwa pod Nakłem jest zarazem ważnem zdarzeniem w społecznych dziejach Polski.

Szkoda, że lud nie był obowiązany do służby wojennej! Nie pociągano go do tego ciężaru w imię słuszności, bo skoro nie posiadał ziemi na własność, nie żądano też krwi na jej obronę; uważanoby to za krzywdę. Skoro dzierżawca nie miał praw w życiu publicznem, nie wymagano też od niego żadnych ciężarów na utrzymanie państwa. Wypada żałować, że ciężaru wojskowego nie nałożono, bo z podejmowania obowiązków rodzą się wcześniej czy później także i prawa.

Pogorszyć miało się położenie kmieci głównie atoli skutkiem tego, że zniknęła ta warstwa, która powołaną była do tego, żeby pośredniczyć pomiędzy szlachtą a włościąństwem.

Pomiędzy szlachtą a kmieciami stali sołtysi, ale nie wytworzyli osobnej warstwy społecznej, pośredniej. Sołtysom wiodło się doskonale, mieli pieniądze, chodzili ze szlachtą na wojnę, a komu z nich nadawała się służba wojenna i nie stronił od wyprawy wojennej, ten chciał też być szlachcicem we wszystkim. Często sprzedawali swoje sołectwo, a kupowali sobie za to majątność w innej stronie i potomkowie ich należeli już do szlacheckiego stanu. Szli też z bogaceni sołtysi do miast, żeby tam robić jeszcze lepsze interesy.

Handel sołectwami kwitnie już za Kazimierza Wielkiego, a później miał przybrać jeszcze większe rozmiary. Szlachta, o ile miała na to fundusze, kupowała sołectwo bardzo chętnie, boć to był interes doskonały, wart nieraz więcej od całej wsi, a przytem dawało to szlachcicowi władzę nad kmieciami, bo robiło go to sędzią nad nimi. Przez kupno sołectwa szlachcic sam stawał się sołtysem.

Zdarzało się, że kupił sołectwo inny szlachcic, ze sąsiedztwa, a natenczas było we wsi dwóch szlachciców; jeden od sądów, a jeden od czynszów. Było to wielką niedogodnością i wiodło do sporów. Zastrzeżono przeto w r. 1346., że żaden szlachcic nie może sobie kupić sołectwa w cudzej wsi bez zezwolenia właściciela jej.

Jeżeli szlachcic został sołtysem, musiał się trzymać w swem urzędowaniu tych samych przepisów, jak dawniejszy sołtys; nie dlatego bowiem miał władzę, że był szlachcicem, lecz tylko dlatego, że był sołtysem. W razie nadużycia szedł kmieć na skargę wyżej, nawet do samego króla; a czy sołtys był szlachcicem, czy nie, to było wobec prawa wszystko jedno.

Gdy gospodarstwo rolne stawało się coraz bardziej intratnem, wykupywano sołectwa tem pośpieszniej. Szlachcic zyskiwał na tem około 120 morgów uprawnej ziemi, bo sołtys miał zwykle cztery łany. Wykupno sołectw opisano w r. 1421 osobną ustawą. Przez wykupno takie przechodziła władza administracyjna i sądowa pierwszej instancyi w ręce właściciela wsi.

Wobec powszechnego zakładania folwarków ubiegano się na wyścigi o robotnika rolnego—a tymczasem dawał się we znaki właśnie brak rąk roboczych. W pięćdziesiąt lat po śmierci Kazimierza Wielkiego pojawiają się znowu niewolnicy, zakupywani u żydów, niewolni i służebne (*servi et ancillae*), których niewola miałyby być dziedziczną, przechodzić z rodziców na dzieci i nie miała się kończyć inaczej, jak chyba szczęśliwym trafem, gdyby ich własny pan obdarzył wolnością i zamienił we wyzwolenców. Według ówczesnych praw popadał ktoś w niewolę za długi; nie każdemu udawało się dług spłacić, choćby po latach, i z niewoli się wydobyć. Ale tych wszystkich niewolnych było nie wiele i rzadko kto mógł się nimi posługiwać. Jestto krótkotrwały epizod tylko; handel ludźmi nie zagnieździł się już i wnet znikają znowu wszelkie ślady jego.

W okolicach mających ułatwiony handel zbożem, bliżej morza i spławnych rzek, nie chciała jednak szlachta wydzierżawiać nowych łąnów kmieciom; zgłaszających się do roli nowych bezrolnych osadników chciało użyć przede wszystkim do uprawy folwarków. Przestaje powiększać się po wsiach ilość łąnów kmiecych. Po dwie i trzy rodziny kmiecie siedziały już na jednym łąnie, rodzice z żonatymi synami, bracia z braćmi. Szukający utrzymania w zawodzie rolniczym znajdowali je łatwo u szlachcica, ale już tylko wzamian za robotę na folwarku, a nie na czynszowej, lub choćby połączonej z roboczną dzierżawie.

Dla pozyskiwanych robotników rolnych folwarcznych stawiał właściciel folwarku zagrody. W taki sposób powstała nowa warstwa wśród ludności wiejskiej, warstwa wolnych zagródników (po łacinie *hortulani*), których stosunek do właściciela folwarku polegał na *dobrowolnej umowie*. Od roku mniej więcej 1420 mnoży się szybko ilość zagrodników. Niejeden syn kmiecy musiał pójść na zagrodnika, gdy rodzina była już zbyt liczna, gdy w okolicy nie można było dostać nowego łąnu kmiecego, a nie starczyło odwagi i przedsiębiorczości szukać szczęścia w innej stronie, na jakiej „woli”—lub też przenieść się do

miasta i tam jąc się miejskich zarobków wśród kupców i rzemieślników.

Chociaż nowych łańów kmiących nie przybywało, było bądźco bądź jeszcze z początkiem XVI wieku łańów kmiących znacznie więcej, niż „dworskich“ t. j. szlacheckich folwarcznych. Tak np. w województwie brzesko-kujawskim było w r. 1489 łańów dworskich tylko 600, a kmiących 2665. Wszakże kmiacie i ich przodkowie trudnili się rolnictwem przynajmniej od 250 lat, a niejeden ród kmiący znacznie nawet dłużej, podczas gdy znaczna część szlachty stanowiła była przedtem tylko drużyny wojenne, potem osiadłszy na wsi poprzestała na samych tylko czynszach dzierżawnych, a do pługa zabrała się dopiero od wieka; i teraz jeszcze część szlachty nie miała ograniczać się do pobierania czynszów z dzierżaw kmiących. Takiej szlachty, która przebywszy we wspólnotach rodowych aż do czasu reform Kazimierza W., miała do czynienia zawsze bez przerwy z gospodarstwem wiejskim, była tylko mniejszość. Dlatego też łańów kmiących było o wiele więcej w Polsce, niż dworskich — lecz z wyjątkiem Mazowsza.

Na Mazowszu była szlachta najliczniejsza i skutkiem tego najuboższa. Kto miał z czego wygodnie żyć, uchodził tam już za pana, natomiast zaś mnóstwo było szlachty chudopachołków. Byli tacy, którzy posiadali ledwie ósmą część łańa (niespełna cztery morgi). Powstało przysłowie o mazowieckiej szlachcie, że „gdy pies usiądzie na jednym dziedzictwie, ogon musi położyć już na drugim“. Szlachta mazowiecka nie miewała gruntów do wydzierżawienia, toteż całemi milami nie spotykało się tam wcale kmiaci. Z końcem XV wieku siadywali tam bracia w jednym wspólnym dworku, ledwie mając czem głód zaspokoić, a zazdroszcząc kmiaciowi w dobrach pańskich gdzieindziej. Niejeden też szlachcic mazowiecki, nie mając już czem doma dzielić się z braćmi, przystał na kmiacia. Stan kmiący nie był wówczas bynajmniej pogardzany. I któż dziś dojdzie w ilu „chłopskich“ dzisiejszych rodzinach płynie już od czterechset lat krew szlachty mazowieckiej! Wszak to szlachta

mazowiecka jęła się emigracji do innych prowincyi polskich i niema takiej polskiej krainy, gdzieby nie było osadnictwa „mazurskiego“, które poczęło się od szlachty, a nie od włościan.

6. Jakim sposobem szlachcic poczynął panować na wsi. Sprawa podatku łanowego. Żydzi na wsi.

Mnożyła się ciągle ilość folwarków, ale trzeba było jeszcze kilku pokoleń, zanimby ilość łanów dworskich dorównała kmiecym, a cóż dopiero, żeby je prześcignęła! Nie każdy miał kapitał na założenie folwarku i rad był, gdy na razie mógł zamienić część nieużytków jakimkolwiek sposobem na glebę orną. W prowincyach południowych, dalej od morza Bałtyckiego i Gdańska, mnożyły się ciągle Wole i Wólki, Lgoty i Lgotki, nęcące nowych osadników jak najdogodniejszymi warunkami, bo powstawało współzawodnictwo między właścicielami o wyszukanie i pozyskanie osadnika.

Stosunek kmiecia do szlachcica pozostawał nadal stosunkiem czystej dzierżawy, z całkowitą wolnością osobistą. Dziedzicowi nie wolno było uszczuplić samowolnie gruntu kmiecego. Mamy z drugiej połowy XV wieku dowody procesów, wytaczanych szlachcicom przez kmieci o naruszenie granic. Obszar dzierżawy, wziętej niegdyś przez kmiecego przodka, przechodził nieuszczuplony z pokolenia w pokolenie. Wobec sądów był kmieć stroną tak samo, jak szlachcic. Mamy z drugiej połowy XV w. dowody pozwów kmiecych przeciw szlachcie o zranienie. W r. 1464 np. udali się na drogę sądową kmiecie wsi Krosna w ziemi sanockiej przeciw Herburtowi Błozowskiemu o rozmaite szkody i prześladowania. Sprawa doszła przez apelacye przed samego króla; kmiecie nie tylko otrzymali sprawiedliwość, ale Herburt musiał złożyć 3.000 dukatów na rękojmię, że kmieci już krzywdzić nie będzie. Używał więc w owych czasach kmieć opieki sądowej zupełnie tak samo, jak

szlachcic. Do osoby kmiecia nie miał szlachcic żadnych praw poza tem, co wypływało z umowy dzierżawnej. Cały majątek kmiecia przechodził na jego dzieci (mamy np. wiadomość z tych czasów o procesie dwóch kmieci, rodzonych braci, o parę koni ze spadku po ojcu).

Rozporządzał też kmięć zupełnie dowolnie swem zbożem, inwentarzem i gotówką. Zboże sprzedawał albo szlachcicowi, albo kupcowi z miasta. Mógł zebrać majątek, albo też popadać w długi; szlachcica to nic nie obchodziło. Mamy we współczesnych aktach dowody, że kmiecie zadłużali się u mieszczan z sąsiednich miast, i to często ponad możność swego majątku. Z końcem XV wieku słyhać było utyskiwania, że kmiecie ubierają się kosztownie (nie było jeszcze owych ubiorów, zwanych dziś ludowemi) i żyją wystawnie. Był więc dobrobyt w tej warstwie, a kto chciał dużo wydawać, miał z czego.

Aż do roku 1496 mógł kmięć nabywać ziemię na własność. Zamożny kmięć trzymał sobie zagrodnika, zupełnie tak samo, jak szlachcic. Z końca XV. wieku mamy ciekawy przykład, jak jeden kmięć wydzierżawia drugiemu część swego gruntu we wsi Tyrawie ziemi sanockiej na cztery lata. Najstarszy-to znany nam przykład dzierżawy na czas ograniczony! Dzierżawca-kmięć zobowiązał się względem kmiecia-właściciela do czterech dni robocizny w roku, a gdyby dzierżawa była przedłużona po czterech latach, miał potem płacić po pół grzywny rocznie. Mamy więc przykład robocizny pomiędzy samymi kmieciami, przyjętej zamiast czynszu: robota zamiast gotówki. Robocizna nie była tedy bynajmniej oznaką poddaństwa i widocznie kmiecie nie upatrywali w niej nic zdrożnego, skoro sami ją wprowadzali pomiędzy sobą. Była to poprostu dzierżawa na odrodek i nic więcej.

Ci właściciele ziemscy, którzy mieli folwarki, nie dawali już w tym czasie nowym osadnikom gruntów bez obowiązku robocizny. W rozmaitych stronach kraju rozmaite były warunki dzierżaw kmiecych; toteż kmiecie próbowali nieraz zmiany na warunki lżejsze. Zwłaszcza młodszy synowie kmieci, jeżeli posiadali przymiot przedsiębiorczości,

rozglądali się po świecie za jaką „Wolą“ lub tańszą dzierżawą.

Czem bliżej Gdańska, tem droższa była ziemia i cięższe warunki dzierżawy. Taniością ziemi nęciły ziemie wschodnie, niezagospodarowane jeszcze należycie, a zatem tam były także mniejsze wymagania od dzierżawcy. Młodzież kmiecia rzucała się tedy na wschód, a często emigrowały całe rodziny na Ruś litewską. Opuszczony skutkiem tego grunt nie zawsze dawał się przyłączyć do folwarku i trzeba było poszukiwać nowego osadnika.

Ustawiczna zmiana ludności rolniczej musiała się dawać we znaki i wywierać zły wpływ na gospodarstwo. Własny interes właścicieli wymagał, żeby się porozumieli i żeby wypuszczali grunta w dzierżawę wszyscy pod jednakiemi warunkami.

Pierwszy przykład dali ziemianie ziemi chełmskiej, uchwalając w roku 1477, na sejmiku w Krasnymstawie, żeby z łanu (tj. z 30 morgów, tj. z 15 dziesięcin) wymagać czynszu rocznego 24 groszy i jeden dzień robocizny.

Sądono, że przez jednostajność ciężarów zapobiegnie się wędrownym włościan. Nadzieja okazała się płonną, bo wkrótce rozpocząć się miało wielkie osadnictwo w prowincjach ruskich i lud począł tam tłumnie emigrować. Bliższa tamtych stron ziemia chełmska poczęła to już odczuwać. Ten sam sejmik uchwalił, że nie wolno nikomu zatrzymać u siebie pod karą trzech grzywien kmiecia zbiegłego, tj. takiego, który opuścił grunt, nie spełniwszy warunków dzierżawnych. Być może, że wszyscy obywatele ziemi chełmskiej trzymali się tego solidarnie — ale cóż z tego, skoro inne krainy pilnowały także swego interesu, a ten polegał na tem, żeby przyjmować do pracy na roli każdego, kto tylko się zgłosi.

W ziemiach zachodnich, gdzie mniej było nieużytków, a zwłaszcza w Wielkopolsce, gdzie ich było najmniej, zaprzestano już całkiem tworzenia nowych łanów kmiecych, Szlachta starała się tam o zagrodników, a więc o służbę, o czeladź dworską, a nie o nowych kmieci. Synowie kmieci dzielili się tam ojcowskim łanem coraz szczuplej. Bywały

tam już gospodarstwa kmiece ćwierćłanowe, tj. po pół-osmej morgi (po 4 dziesięciny mniej więcej), podczas gdy folwarki obejmowały już zazwyczaj po cztery łany, tj. po 120 morgów (60 dziesięcin). A jednak wciąż jeszcze było razem wziętych łanów kmiecyh więcej, niż dworskich, w czem dowód, jak rzadko jeszcze i jak daleko od siebie były folwarki wówczas w porównaniu z czasami późniejszymi.

Czynsz płaciło się nie od gospodarstwa, lecz od ładu; kto więc miał pół ładu, płacił połowę dawnego czynszu. Obojętnem było, czy synowie podzielili się ładem ojcowskim, czy też gospodarują wspólnie; czy każdy z nich stawia sobie nowe „dworzyszcze“, czy też mieszkają razem. Urządzano się rozmaicie. Np. w Karacynowie, w powiecie lwowskim, mieszkało wspólnie w jednym dworzyszczu aż 17 kmieci! A nie tak daleko stamtąd, w Łysiatyczach, powiatu stryjskiego, było aż 32 dworzyszcz, na których gospodarowało 157 ludzi, a więc wypadało po 5 przeciętnie na jedno dworzyszcze.

Niechęć do wydzielania nowych łanów kmiecyh powstawała także z tego powodu, że szlachcic jednako płacił podatek z ładu, czy sam na nim gospodarował, czy też wypuszczał go kmieciowi. W roku 1468 postanowiono na sejmie, że podatek łanowy (dzisiejszy „gruntowy“) płacić należy także z gruntów kmiecyh.

Kmiecie nie byli zgoła opodatkowani przez państwo; z tego samego powodu, dla którego nie wymagano od nich służby wojskowej: nie posiadali politycznych praw obywatelskich, a więc nie ponosili też żadnych ciężarów państwowych; jedno i drugie przywiązane było do własności ziemskiej. Podatek z kmiecyh łanów płacił szlachcic pobierający z nich czynsze i robociznę. A był ten podatek niestały, zależny od uchwały sejmowej. Gdyby więc kmięć miał sam opłacać ten podatek, nigdyby nie mógł wiedzieć, jakie będą w pewnym roku jego ciężary dzierżawne; stosunki gospodarcze kmiece byłyby chwiejne, niepewne. Chwiejność ta dawała się też we znaki właścicielowi. Ponosił on straty, ile razy sejm nagle uchwalił podatek wyż-

szy. Czynszów podwyższać nie mógł, bo ani nie miał do tego prawa, ani też kmiecie nie byliby więcej zapłacili, lecz raczej zbiegaliby z gruntów. Musiał więc szlachcic w takim razie dopłacać ze swego, poprzestając na zmniejszonych dochodach.

Wydzierżawianie łąnów kmieciom poczynano być interesem bardzo niepewnym.

Folwarczny łąn dawał dochód większy, a podatek był z niego taki sam, jak z kmiecego; zrozumiałem więc jest, że zamożniejsza właśnie szlachta (którą stać było na urządzenie folwarków) coraz rzadziej i coraz trudniej przystawała na nowe dzierżawy kmieci. Możeby nie było tej niechęci do pomnażania łąnów kmiecych, gdyby nałożono na kmieci osobny podatek, zastosowany do ich środków i stosunków, bo w takim razie nie byłoby straty na tych łąnach. Ale opodatkowanie kmieci na rzecz państwa sprzeciwiało się ówczesnym pojęciom o sprawiedliwości społecznej. Mniemano, że nie godzi się wymagać podatków od takich, którzy nie posiadają własności ziemskiej.

Kierowano się więc względem kmiecia poczuciem sprawiedliwości społecznej, a jednak, bez najmniejszej intencji krzywdy, zyskiwała szlachta coraz większą przewagę osobistą nad kmieciem przez to, że skup sołectw odbywał się na coraz większą skalę. W roku 1420 stanęła ustawa, że sołtys musi odsprzedać swe sołectwo, gdy właściciel wsi oświadczy chęć kupna. Około r. 1500 prawie już wszędzie sołtysiem był sam dziedzic, przez co stawał się sędzią kmieci i urzędowym ich zwierzchnikiem. Nie przeszkadzało to słusznemu wymiarowi sprawiedliwości, którą — jak stwierdzają zachowane akta — można było otrzymać w apelacji nawet przeciwko dziedzicowi — ale takie połączenie władzy sądowej i administracyjnej w jednym ręku, a do tego związane z przewagą ekonomiczną, stanowiło zależność prawną od tej samej osoby, od której się było zależnym ekonomicznie. Mieściło się w tem poważne niebezpieczeństwo dla społecznego ustroju, choćby dlatego, że stosunki te pozwalały skupić za wiele władzy jednemu człowiekowi.

Szlachcic począł w^o wsi naprawdę panować; chociaż żadna ustawa nie robiła go jeszcze panem nad kmieciami.

Nie zmieniono w Polsce nigdy a nigdy ustawowo niczego w samorządzie wiejskim, ale skoro obowiązki sołtysa sprawował sam właściciel wsi, było to w praktyce czemś zgoła innym! Skup sołectw jest też najważniejszym faktem z historii ustroju społecznego Polski, bo skutki tego były tak doniosłe, iż zmieniły zupełnie ustrój życia wiejskiego, a wpłynęły pośrednio na cały ustrój społeczny, a przez to w dalszym ciągu i na ustrój państwa.

Do sołectwa należał z dawien dawna monopol młyna i karczmy. Wraz ze skupem sołectw przechodziły przeto w ręce szlachty wszystkie młyny i karczmy, wykupione od sołtysów.

Krok ten nie był niczyją krzywdą, a jednak miało potem powstać z tego dużo zła. Krok ten okazał się grubym błędem społecznym. Szlachcic nie sprawował sam ani młyna, ni karczmy, bo się ani na tem nie znał, ani nie miał na to czasu; potrzebował więc do tego jakiego dzierżawcy, lub przynajmniej zarządcy. Młyny pobrali w dzierżawę kmiecie, ci sami, którzy brali je przedtem od sołtysów.

Powstał w Polsce liczny nader stan młynarzów wiejskich, którego-to stanu resztki jeszcze widzimy w niektórych stronach kraju. Powstał też drugi stan i to jeszcze liczniejszy: karczmarze — ale ten stan niedługo począł się zmniejszać.

Przyszli na wieś inni ludzie, dający lepsze warunki dzierżawy karczem, poprzestający zrazu na bardzo małym, a przystający na wszystko, czego od nich żądano: przyszli na wieś Żydzi i zajęli się ze szczególnem upodobaniem karczmarstwem, a potem — gdy już karczem dla nich nie starczyło — rzucili się także na młyny.

Wprowadzenie Żydów na wieś również nie wypłynęło z żadnych złych zamiarów, a jednak stało się najcięższą klęską dla społeczeństwa polskiego.

Zaczął się to za panowania Kazimierza Jagiellończyka (1447—1492; wcale nie za Kazimierza Wielkiego!), a w sto lat potem do wyjątków już należała wieś bez Żyda.

Stanowisko zajęli na wsi zaraz od początku silne, bo oni byli pośrednikami w sprowadzaniu kapitału, którego potrzebował szlachcic na zakładanie folwarków, a kmieć nie-raz także na podniesienie swego gospodarstwa. Pozostając w ścisłych stosunkach z Żydami po miastach, trudnili się nawet najubożsi Żydzi po wsiach pożyczkami, i dlatego stawali się nawet pożądanymi przez ludność wiejską, dla której kredyt stawał się coraz potrzebniejszym. Kmieć miał z Żyda wygodę: nie potrzebował jeździć do miasta i szukać kredytu u mieszczan i prosić się; miał w swojej rodzinnej wsi swojego Żyda, który mu się sam wpraszał, bo lichwa była jego zawodem zajęciem.

Nie mogło wówczas jeszcze być mowy o tem, żeby Żyd miał zaciążyć nad dobrobytem kmiecym. Był najpokorniejszym sługą nietylko szlachcica, ale też kmiecia, szczęśliwy, że ma gdzie głowę schronić przed prześladowaniem po miastach, gdzie ich było zresztą już nazbyt wielu. Żyd ubożuchny przybywał na wieś cichy i potulny, a żeby się z bogacić. Godne też i to uwagi, że już w XV. wieku rzucali się na Żydów często mieszczanie, ale lud wiejski w Polsce nie urządzał żadnych rozruchów żydowskich. Ludność wiejska, czy szlachcic, czy kmieć, zadowolona była z Żydów, i upatrywała tylko swoją wygodę w ich pobycie na wsi.

Nikt nie przypuszczał, że wieś polska stanęła wten-czas na przełomie swego dziejowego rozwoju! A przełomowemi były owe czasy (około r. 1500) pod każdym względem. Życie wkraczało na nowe tory.

7. Zawiązki poddaństwa ludu wiejskiego.

Zasadnicze znaczenie miało ustawodawstwo sejmowe 1496 roku.

Szlachta, widząc się w tym czasie zagrożoną groźną konkurencją bogatego mieszczaństwa, nabywającego na wielką skalę dobra ziemskie, i odczuwając brak rąk roboczych na swych folwarkach, uchwaliła na sejmie piotrkow-

skim 1496 r., że tylko szlachcicowi herbowemu wolno posiadać ziemię i ograniczała wolność przesiedlania się ludu wiejskiego.

Rozwój gospodarstwa folwarcznego pragnęła szlachta zapewnić sobie następującymi przepisami:

Jednemu tylko kmieciowi wolno w ciągu jednego roku opuścić wieś i przenieść się gdzieindziej; z synów zaś kmiecych jeden tylko może iść do szkół lub do rzemiosła.

Ze wszystkich ustaw ta najbardziej była niewykonalną i zostawała przepisem na papierze. Polska była za duża, żeby w niej odszukać kmięcia lub jego syna, gdy puścić się w świat. Na nic się nie zdało uchwalanie rozmaitych na to środków, procesów o zbiegostwo i t. p., bo rąk do pracy potrzebowano wszędzie, więc nikt przybysza nie wydawał, lecz witano go chętnie, gdziekolwiek zapukał. Emigracya na wschód, na Ruś, nietylko nie ustała, ale wzmacniała się ciągle, a polskiego rolnika przyjmowano tam na wyjątkowo dogodnych warunkach, bo znając się lepiej na rolnictwie od miejscowego ludu, był przydatny do zaprowadzania postępowego gospodarstwa.

Konsekwentne wykonanie ustawy z r. 1496 było niemożliwym, póki Polska rozwijała się społecznie i państwowo. Synowie kmięcy garnęli się głównie do miast, skąd nie łatwo było wydostać „zbiega“, zwłaszcza, że miasta posiadały najzupełniejszy samorząd. Gdyby tedy miasta polskie wzrastały ciągle i bogaciły się, coraz więcej młodzieży włościańskiej znajdowałoby zarobek po miastach i żadna ustawa nie poradziłaby na przenoszenie się części ludności wiejskiej na bruk miejski. Chcąc utrzymać kmięcy na gruncie, musiałyby szlachcic podawać im lepsze warunki dzierżawy — i nietylko kmięć od szlachcica byłby zależny, ale także szlachcic od kmięcia.

Przyszłość ludu wiejskiego zależała tedy od przyszłości miast i odtąd jedno z drugim łączy się najściślej. Im bardziej podnosiłby się ogólny dobrobyt kraju, im więcej byłoby w Polsce sposobów do wygodnego utrzymania życia, tem

lepszą byłaby dola tych, którzy pracowali na roli, ale na nieswojej ziemi.

Sejm roku 1503 uchwalił dalsze ograniczenie swobody kmieiego stanu, a mianowicie, że syn kmieicy może udać się do szkół tylko przed ukończeniem dwunastego roku życia (do rzemiosła wolno jeszcze było odejść ze wsi w każdym wieku).

W tymże czasie pojawił się ze szlacheckiej strony inny projekt co do ludności wiejskiej, ale projekt tym razem prawdziwie mądry. Oto tegoż roku 1503 na sejmiku w Wojniczu wyrażono życzenie, żeby co dziesiątego kmiecia pociągnąć do pospolitego ruszenia w razie wojny. Niestety, minęło kilkadziesiąt lat, zanim się oswojono z tym pomysłem. Szkoda, bo gdyby włościństwo zbliżyło się do organizacji państwowej za pomocą służby wojskowej, gdyby zaczęło spełniać względem państwa obowiązki, doczekałoby się też praw w państwie. Odbywały się dopiero pierwsze, dalekie i niefortunne, próby ograniczenia wolności przesiedlania się; gdyby kmieć został był w tym okresie żołnierzem, mógł był jeszcze wyjść na obywatela. Niestety, nie zajęto się bliżej projektem wojnickim.

Wszystko miało ostatecznie zależeć od rozwoju stosunków ekonomicznych w Polsce. Chodziło przedewszystkiem o to, czy stan mieszczański pozostanie tak bogatym, żeby dostatkami swemi zaważył na szali spraw publicznych — i czy lud wiejski wogóle, zwłaszcza zaś kmiecie, nie będą zależni ekonomicznie wyłącznie i w zupełności od szlachty, czy będą mogli znajdować sposób do życia bez pomocy szlachty, czy też będą zmuszeni szukać chleba wyłącznie u niej.

Niestety, rozkwit miast polskich miał skończyć się wkrótce. Wielkie drogi handlowe odwróciły się potem od Polski i nastąpił upadek miast, a skutkiem tego całkowita zależność ludu wiejskiego od szlachty...

Zależność ta, zaczawszy się od skupu sołectw, miała się powiększyć skutkiem pewnego przesunięcia się równowagi społecznej w dziejach sądownictwa polskiego:

Sędzią najwyższym nad wszystkimi stanami był król i do niego szła apelacya od wszystkich sądów stanowych, od ziemskich (szlacheckich), tudzież od autonomicznych (samorządowych) miejskich i wiejskich. Od wyroku sołtysa szła apelacya do t. zw. magdeburgii, a stąd do samej osoby królewskiej. Mogli z tego korzystać kmiecie, pomimo to, że sołtysem stawał się coraz częściej właściciel wsi.

Aż oto w r. 1518, gdy przed królewskim sądem asesorskim w Krakowie skarżył kmięć swego dziedzica o nieprawne przynaglanie siebie do robocizny i o gwałty — sąd tej skargi wcale nie przyjął i nie wdając się zgoła w rozpatrzenie sprawy, podał za przyczynę, „żeby poddani panów swych nie pozywali przed króla“.

Był to straszliwy cios dla stosunków wiejskich. Do zależności ekonomicznej, administracyjnej i sądowej w pierwszej instancji, przybywało teraz odcięcie drogi apelacyjnej. W praktyce wychodziło to tedy na to, że dziedzic sam jest odtąd najwyższym sędzią nad swymi kmieciami.

Owemu sądowi asesorskiemu w r. 1518 chodziło o to, żeby nie mnożyć spraw apelacyjnych, któremi i tak był przeciążony. Odmowa w r. 1518 byłaby zresztą nieszkodliwą, gdyby obmyślono równocześnie nową organizację sądownictwa, ale to nastąpiło znacznie później, aż w r. 1578, kiedy dla włościaństwa było to już, niestety, spóźnionem.

Żaden sejm nie uchwalił nigdy poddaństwa ludu; następowało to przez stopniowe rozszerzanie władzy dziedzica na wsi.

Przedtem już, w r. 1501 postanowiono, że kmięć, pozwany o zbrodnię gardłową, niema być odstawiony do urzędu starościńskiego, lecz przed sąd dziedzica (jako wykonującego prawa i obowiązki sołtysowskie). Wtenczas też zakazano sądom miejskim przyjmować skargi na kmieci o długi i polecono odsyłać wierzyciela do sądu sołtysa, a więc zazwyczaj dziedzica. Utrudniło to oczywiście zaciąganie pożyczek w miastach, skoro mieszczanin nie mógł poszukiwać swej wierzytelności w sędzie miejskim — i odtąd musieli kmiecie szukać w razie potrzeby kredytu albo

we dworze, przez co popadali w jeszcze większą zależność od dworu, albo też, jeżeli nie chcieli prosić się u dziedzica, musieli iść po pożyczkę do Żyda wiejskiego. I tak przez nieroztropny przepis sądowy wpadł kmięć w żydowską kieszeń.

Nie każdy szlachcic zajmował się osobiście sądownictwem, jakie mu przypadło w sołectwie. Często wyręczał się włodarzem i rządcą — a czem większe były dobra ziemskie wielkiego pana, tem więcej było takich pośredników pomiędzy panem a kmięciem, tem gorzej też działo się kmięciowi.

I w podatkowych sprawach prąd czasów obrócił się przeciw stanowi kmięcemu. Jakżeż przestarzałą była zasada, żeby kmięcie nie płacili całkiem podatków! Właściciel, obarczony podatkami, wzrastającymi coraz bardziej, podwyższał oczywiście daniny z ziemi swojej, czy to czynsze gotówką, czy to robocizną. Za Zygmunta Starego (1506—1548) namyślano się, czy nie nałożyć na kmięci podatków, zwłaszcza na każdą wyprawę wojenną. Byłoby to zbliżyło także stan kmięcy do organizacji państwowej i mogłoby się stać w przyszłości drogą do pozyskania praw obywatelskich, gdyby władze prowadziły wykazy kmięci obowiązanych do opłacania podatku i gdyby te władze państwowe stykały się wprost z włościąństwem. Ale państwa ówczesne miały niewielkich tylko urzędników i nie było sposobu, żeby dla każdego mieszkańca wsi była w urzędach osobna rubryka podatkowa. Poradzono sobie więc w ten sposób, że samego właściciela wsi zrobiono odpowiedzialnym za ściąganie podatków z całej wsi; poborca podatkowy jego tylko znał, z nim jednym tylko miał do czynienia i od niego otrzymywał należytość podatkową; wszystkich zaś innych mieszkańców wsi, kmięci, młynarzy i karczmarzy, przydawała uchwała sejmowa dziedzicowi „do pomocy” (in auxilium) w sprawach podatkowych. W praktyce wyszło to później na to, że i pod tym względem kmięć zależał od dobrej woli dziedzica. Pozostawionem było bowiem porozumieniu się właściciela z jego czynszownikami, jak owa „pomoc podatkowa” ma być rozłożona na mieszkańców wsi.

Druga droga do obywatelstwa stanu kmiecego: służba wojskowa, otwierała się kmiociom dwa razy za króla Zygmunta Starego. Dwa razy za tego panowania powtórzył się ten pomysł, a w r. 1525 sam król zażądał piechoty kmiцей. Ale skończyło się na projektach, bo ogół uważał służbę wojskową nie za sam ciężar tylko i obowiązek, ale zarazem za najwyższy zaszczyt szlacheckiego stanu, za przywilej, którego nie chciano dzielić z innymi. Zaraz w następnym roku, 1526, sejm zwrócił uwagę królowi, że do obowiązku obrony Rzeczypospolitej powołaną jest jedynie szlachta.

Olbrzymia większość ciężarów państwowych w czasie wojny i pokoju spoczywała rzeczywiście na szlachcie. Państwo musiało tedy we własnym interesie otaczać opieką dobrobyt tej warstwy. Ustawy sejmowe ułatwiały tedy coraz bardziej gospodarkę folwarczną, a wypuszczały natomiast ze swej opieki kmieci czynszowych.

Ustawa podatkowa nakładała podatek dochodowy (obok łąnowego) tylko na czynsze, a uwalniając od dochodowego folwarki (które płaciły tylko łąnowy), zachęcała zapewne do rozwoju rolnictwa, ale pociągała za sobą także inne skutki. Ustawa taka wiodła do tego, iż już za Zygmunta Starego zdarzały się wypadki, że właściciele wsi uszczuplali ilość łąnów kmiēcych, a przyłączali część ich do folwarków. W gęściej zaludnionych krainach Polski bywały w połowie XVI. w. gospodarstwa kmiECE, wynoszące zaledwie ósmą część łąnu, tj. niespełna cztery morgi (dwie dziesięciny).

Ważnym w historii ludu wiejskiego jest rok 1543, bo wtenczas wydano postanowienie, że zbiegłego kmiECIA musi się wydać, a nie można opłacić go okupem, żeby więc kmiEC w żaden sposób nie mógł przesiedlić się bez zezwolenia dziedzica. Ale swoją drogą postanowienie na nic się nie zdało i wędrownka ludu wiejskiego trwała nadal.

Kwitnęła też coroczna emigracja czasowa za zarobkiem na Śląsk, do Prus, a także na Węgry. Groziło to znowu brakiem robotnika rolnego w kraju, a więc w roku 1538 zamknięto granicę śląską i węgierską. W kraju zna-

lazło się robotnika rolnego mnóstwo, ale zyskiwali na tem tylko możni panowie, którzy mogli odtąd przystąpić tem łatwiej do osadnictwa swych wielkich obszarów, mogąc ofiarować osadnikowi lepsze warunki od zwykłego szlachcica.

Handel zbożowy kwitnął coraz bardziej i podnosiły się dochody z ziemi. Dochody z łanu były oczywiście rozmaite w różnych stronach Polski. Obliczono, że w r. 1532 dawał łan czystego dochodu rocznego na Kujawach i w Prusiech Królewskich przeciętnie 49 złp.; w Krakowskiem, Sandomierskiem i Lubelskiem 29 złp.; koło Kalisza i Gniezna 24 złp.; koło Warszawy 22 złp.; na Podlasiu zaś 19 złp. Zależało wiele od bliskości komunikacji spławnej i oczywiście od jakości gruntu. W połowie XVI. wieku nie brak było takich okolic, gdzie ziemia nie miała jeszcze wielkiej wartości; np. w r. 1540 we wsi Włoszczowicach mógł sobie kmieć obsiać roli, ile zechciał. W takiej okolicy był kmieć jeszcze rzeczywistym panem na swoim łanie.

Bądźcobądź, szlachcic stawał się coraz bardziej panem samowładnym na swojej wsi. W r. 1539 uchwalono, że stosunki prawne Żydów po wsiach pozostawia się dobrowolnie umowie z każdym właścicielem wsi z osobna. Stawał się więc szlachcic równocześnie panem nad kmiem i nad Żydem. Rzeczywiście Żyd był zależny niewolniczo od każdego kaprysu pańskiego; ale Żyd umiał sobie lepiej radzić, bo nie na ciężkiej pracy opierał się, lecz na lekkim pieniądzu.

Coraz bardziej mnożyli się Żydzi po wsiach, a w dobrach możnowładców nie było już folwarku bez Żyda. On starał się o kredyt dla kmiem, a panu ofiarował najwyższą cenę za młyn i za karczmę. W XVI w. karczmy nie były jednak wcale rozpowszechnione, a jeszcze w drugiej połowie wieku XVI. posiadała karczmę ledwie co trzecia, a nawet co czwarta wieś. Dzierżawienie karczem stało się już wówczas ulubionym nad wszystko procederem żydowskim. Przez cały wiek XVI niema jednak w polskim ludzie wiejskim ani śladu pijackich nałogów.

Pomimo wszystkich utrudnień kmieć cieszył się jeszcze ciągle znacznym dobrobytem. Właśnie w XVI wieku

zaczął się lud wiejski stroić i podnosił materyalny poziom życia. Im lepiej mu się powodziło materyalnie, im mniej mieli przyczyn do niezadowolenia ze swego stanu, tem łatwiej było przeprowadzić te wszystkie ustawy, z których stopniowo złożyło się poddaństwo stanu włościańskiego. Zadowolony ze swej zamożności kmięć, zamożny nawet na ósmej części łanu przy wzrastających wciąż cenach zboża, a tem bardziej zadowolony z dostatniego utrzymania zagrodnik, nie troszczył się o nic poza tem, nie dbał o inne strony życia, nie dostrzegał zgoła, co się przygotowuje na przyszłość.

Zamożności włościanstwa polskiego w wieku XVI. dowodem jest i to, że owe piękne, barwne, wymyślne a tak kosztowne ubiory ludu polskiego, t. zw. stroje ludowe, powstały właśnie w XVI. wieku.

Można powiedzieć, że dobrobyt zaślepił kmięcia polskiego, że nie umiał patrzeć w przyszłość. Gdyby była bieda, byłby się może burzył przeciw poddaństwu — ale poddaństwo z dobrobytem przyjmował niefrasobliwie.

8. Na Litwie, Rusi i w Moskwie.

Opowiadanie nasze o kolejach losów włościanstwa polskiego objęło już czasy dynastji Jagiellońskiej, panującej Polsce, Litwie i Rusi w latach 1386 — 1572, ale Litwie i Rusi litewskiej w czasach już wcześniejszych, gdyż pochodzącej z Litwy (od Gedymina).

Państwo litewskie, przyjąwszy wiarę chrześcijańską dopiero w r. 1386 od Polaków, zacofane było pod każdym względem. W gospodarstwie było rolnictwo na szarym końcu jeszcze w XV wieku, a ludność w rozległym kraju szczupła jeszcze w wieku XVI. Nie było na Litwie (odkąd tylko wiadome są jej dzieje) ani organizacyi rodowej, ani rodowej wspólnoty, boć tam nie było wogóle własności ziemskiej. Wszelka ziemia stanowiła wyłączną własność Wielkiego Księcia Litwy.

Na Litwie pogańskiej los człowieka zawisł od skienia księcia. Nikt nie stał sam o sobie i nie miał za

sobą żadnego prawa. Polacy nie mogli się nadziwić, jak Litwini na rozkaz swego władcy sami się wieszali! Wobec księcia wszyscy Litwini byli prostymi niewolnikami. On miał prawo dokonywać przesiedlania i wyznaczać zajęcia, a wobec tego nie mogło się ustalić żadne prawo spadkowe. Zależało to od woli księcia, czy syn pozostanie na miejscu ojca swego, a więc nie mogło być mowy o żadnym dziedziczeniu. Wszakżeż nie wolno było córki wydać za mąż bez zezwolenia władzy książęcej!

Dopiero po chrzcie, pod wpływem polskim miało się to zmieniać. Stopniowo zamieniali się Litwini z niewolników w obywateli. Od Polaków nauczono się prawa własności ziemskiej i jej dziedziczenia.

Były obok polskich także ruskie wpływy na Litwę. Władcy litewscy panowali nad rozległymi ziemiami ruskimi, zdobywanymi i wcielaniem do państwa litewskiego. Odkąd w r. 1362 zagarnięto już i sam Kijów, było w Wielkiem Księstwie Litewkiem trzy razy więcej Rusi, niż Litwy właściwej (Letuwy, jak się sami nazywają). Ta Ruś prawosławna nie umiała nawrócić Litwinów na chrześcijaństwo, ale narzuciła jej po dłuższym czasie dużo ze swego ustroju społecznego. Panowało tam t. zw. „prawo słuźskie“, mocą którego każdy był czyimś zwierzchnikiem i czyimś sługą, miał kogoś pod sobą i kogoś nad sobą — z wyjątkiem tylko księcia panującego, który nie miał już nikogo nad sobą i z wyjątkiem włościanina, który nie miał nikogo pod sobą, ale sam był pod wszystkimi, na samym spodzie społeczeństwa.

Wyrobił się na Rusi wcześniej, bo już w XIII, wieku stosunek poddańczy i to udzieliło się Litwie. Wsie litewskie i ruskie na Rusi litewskiej nie posiadały w wiekach średnich samorządu, ani żadnych wogóle urządzeń administracyjnych. Każdy włościanin, pracujący na nieswojej roli, był zależnym osobiście bezpośrednio od swego pana — a więc poddaństwo osobiste. Kiedy Kazimierz Jagiellończyk przybywał w r. 1447 z Wilna do Krakowa, objąć rządy także nad polskiem państwem, witający go profesor krakowskiego uniwersytetu, Jan z Ludziska, uważał za sto-

sowne wytknąć w mowie powitalnej stosunki poddańczo-niewolnicze ludu wiejskiego w państwie litewskim. Na doli ludu wiejskiego znać było najlepiej różnicę prawa polskiego i słuźskiego. Ani czynszów, ani dzierżaw drobnych nie znano ni na Litwie, ni na Rusi litewskiej w okresie Jagiellońskim.

O ludzie wiejskim litewskim posiadamy bardzo niewiele wiadomości z owych czasów. Tyle wiadomo, że zaludnienie było niezmiernie rzadkie, a ubóstwo straszliwe. Litwin i żywił się i ubierał nędznie w porównaniu z włościaninem polskim, lub choćby ruskim. Cofała się też ludność litewska już w wiekach średnich przed stałym naporem ludu białoruskiego (jak cofała się nieustannie w czasach następných i cofa się również za naszych czasów).

Ruś przestała już być krajem ubogim, a zwłaszcza północne ziemie ruskie bogaciły się na handlu. Organizacya rodowa zniknęła wczesnie na Rusi północnej, ale na południowej przedłużała się do późniejszych czasów. W wieku XV kwitnął jeszcze na całej Rusi handel niewolników.

W roku 1569 nastąpił rozłam polityczny w Wielkiem Księstwie Litewskim. Ogół ludności pragnął, żeby postępowe prawa polskie zaprowadzić ze wszystkiem i w litewskim państwie, gdy tymczasem możnowładztwo litewskie sprzeciwiało się temu. Ogół ludności dążył wbrew możnowładztwu do jak najściślejszej unii z Polską. Sprawa ta przechodziła przez rozmaite koleje, aż weszła na sejm lubelski 1569 roku, popieraną gorliwie przez samego króla Zygmunta Augusta. Ale możnowładcy zerwali zupełnie układy i opuścili Lublin. Czekala ich jednak przykra niespodzianka, a tem zaszczytniejsza dla Polaków. Oto pozostali w Lublinie posłowie z południowych krajów państwa litewskiego, z Podlasia, z Wołynia i Ukrainy prosili, żeby ziemie te wcielić bezpośrednio do korony polskiej, czego też król dokonał natychmiast. Wrócili natenczas do Lublina możnowładcy litewscy, bojąc się, że szlachta litewska zażąda także prostego wcielenia do królestwa polskiego i północnej części państwa litewskiego. Stała się tedy wtenczas sławna

unia lubelska z Wielkim Księstwem Litewskim, od którego jednak oderwały się południowe prowincje ruskie i przyłączyły się do Polski.

Zachowały jednak i te odrywające się od Litwy kraje ruskie dawne prawo, obowiązujące w całym państwie litewskim, t. zw. statut litewski. Prawo to rozwijało się i po unii lubelskiej dalej samodzielnie.

W roku 1588 wyszedł na kraje podlegające statutowi litewskiemu przepis, że kto przez dziesięć lat siedzi na nie-swoim gruncie, staje się poddanym właściciela gruntu. Przepis taki musiał skłaniać niejednego, że w dziesiątym roku gospodarki rzucił wszystko i szukał szczęścia gdzie-indziej w świecie. Niejeden przystawał do kozaków.

Z kolei rzeczy wypada teraz poznać początki kozaczyny.

W prowincjach południowo-wschodnich, na t. zw. Ukrainie, było bardzo mało ludności osiadłej, bo tam groziły zawsze najazdy tatarskie od strony Krymu, ale nazybierało się tam z czasem dużo zbiegów ze wszystkich krajów ościennych. Jedni uciekali przed karami sądowymi, drudzy przed złym losem, innych znówu nęciła zupełna swoboda, niczem nie krępowany tryb życia, bo tam na dalekich a rozległych stepach nikt właściwie nie panował. Ludność ta, pochodzenia rozmaitego, utrzymywała się z myślistwa i z wypraw na drobniejsze oddziały tatarskie. Gdy Tatarzy wracali z łupami z najazdu na polskie prowincje, napadano na powracający jaki drobniejszy oddział, żeby im odebrać łupy. Niejeden zebrał w ten sposób znaczniejsze dostatki, z którymi wracał potem w strony rodzinne.

Z biegiem czasu nazybierało się tam sporo Wołochów, Węgrów, Rusinów i Polaków, nawet dość przybyszów z drobnej szlachty polskiej, żeby wieść życie swobodne z dnia na dzień, bez jakichkolwiek powinności wobec kogo-kolwiek. Tatarzy nazywali ich kozakami, co w tatarskim języku znaczy tyle, co ludzie luźni. Gdy ich przybywało coraz więcej, zorganizowali się jako tako po wojskowemu. Zbiegiem okoliczności powstawała na Ukrainie ar-

mia, narażająca Polskę na kłopoty przez to, że kozacy często naruszali nawet granice tureckie, podejmując tam wyprawy łupieżcze — a że Ukraina należała do państwa polskiego, więc sułtan posyłał zaraz groźne listy o to, że poddani króla polskiego napadają na państwo tureckie podczas pokoju! Kozacy naprawdę nikogo nie słuchali, ale uznawali nibyto zwierzchnictwo króla polskiego, dlatego że najinteligentniejsi z nich zbiegli z szeregów szlachty polskiej i nie zapomnieli jeszcze do reszty o związku z Polską. A bez napadów na Turków i Tatarów kozacy obejść się nie mogli, bo to stanowiło w znacznej części o ich dobrobycie.

Za króla Zygmunta Starego (1506—1548) postanowiono zająć się ich losem, ażeby mieli utrzymanie pewne, nie potrzebując szukać łupów na tureckiem pograniczu: wzięto ich na żołd państwa polskiego. W roku 1531 przyjęto na żołd dwa tysiące kozaków. Potem Stefan Batory przyjmował coraz więcej kozaków na żołd polski, tworząc w ten sposób rodzaj stałej armii na południowo-wschodnich kresach. Zwano takich kozaków „rejestrowymi” od tego, że byli spisani na liście wojskowej, czyli na rejestrze. Sprawiali się oni dzielnie i mogli byli stanowić zawiązek dobrej armii, gdyby nie to, że nie odznaczali się karnością.

Organizacya ta pod polską zwierzchnością tak się spodobała ludowi ruskiemu, że tysiącami całemi poczęli zbiegać z roli ze sąsiednich prowincyj i zgłaszać się do kozaków. Niebawem mieli tam Rusini olbrzymią większość, inni zaś ruszczyli się, nie mając sposobności zaspokajania potrzeb religijnych inaczej, jak u nielicznych popów prawosławnych w mieścinach w pobliżu Dniepru.

Tymczasem od końca XVI w. poczynąła się Ukraina zagospodarowywać. Królowie czynili tam rozległe nadania „pustek” na kilka, czasem na kilkanaście mil, a możnowładcy ruscy zamieniali się na największych przedsiębiorców osadniczych, jakich zna historia. Sprowadzali tysiące osadnika, ale potrzebowaliby dziesiątków tysięcy. Patrzali

tedy krzywo na kozaczyznę, która zabierała im dużo par rąk, zdatnych do pługą, ale wolących robić szablą.

Z czasem Kozacy mieli swoje warowne obozy, Siczami zwane, w kilku miejscach pomiędzy Dnieprem a Donem. Do Siczy kobiet nie zabierali. Kozak żonaty wybierał sobie na bezpiecznym ukraińskim stepie, gdzie chciał, kawał ziemi, i zakładał swój „futor“, t. j. folwarczek mały. Zmieniali się: część była w Siczy, zawsze w pogotowiu wojennem, a reszta przy rodzinach po futorach. Kilkanaście tysięcy futorów na tych rozległych stepach, to nic nie było; ginęło to wśród kraju nieuprawnego i bezludnego. Jeden powiat w Wielkopolsce miał tyle ludności, ile ta Ukraina — choć od całej Wielkopolski znacznie większa.

Kiedy w kancelarji królewskiej w Warszawie pisano nadanie dla jakiego ruskiego możnowładcy, nikt nie wiedział, gdzie tam jaki futor stoi. Zdarzało się po większej części, że taki możnowładca nie korzystał odrazu z całego nadania (nie mając do tego dosyć ani kapitału, ani osadnika), a tymczasem Kozak postawił sobie futor w granicach jego nadania, nie wiedząc nic o tem, że to nie jest już bezpieczna ziemia. Jakież mogło być oznaczenie i pilnowanie granic w kraju, gdzie można było jechać całemi milami i nie spotkać żywej duszy! Po latach pokazywało się, że Kozak siedzi na „pańskiej“ ziemi. Nie o ten kawałek gruntu chodziło ruskiemu kniaziewi, ale o kilka par rąk z futoru, bo brakowało robotnika rolnego.

Przepis z r. 1588 skłonił niejednego, już osiadłego na pańskim, że w dziesiątym roku gospodarki rzucił wszystko i szedł do Kozaków. Ten sam przepis dotknął jednak niejednego Kozaka, gdy się pokazało, że przed dziesięciu laty założył sobie futor na ziemi, objętej czyjems nadaniem. I to była pierwsza przyczyna, dla której panowie ruscy i Kozacy byli sobie nawzajem ością w gardle, chociaż po większej części byli jednego rodu i jednej wiary, jedni i drudzy Rusini prawosławni.

W następnym okresie miał się tam wyrobić ostry antagonizm społeczny, wyzyskiwany przeciwko Polsce przez Moskwę. Ażeby móc te sprawy trafnie osądzić, trzeba za-

poznać się ze stosunkami ludu wiejskiego także w państwie moskiewskim.

Na najdalszych północno-wschodnich ziemiach Słowiańszczyzny wschodniej, w krainach moskiewskich, nazywano wieśniaków czynnych przy gospodarstwie własnymi rękoma, „krestianami“. Nie koniecznie był rolnikiem. Ci, którzy chadzali za pługiem, mieli nadto specjalną nazwę: „tiagłyje ljudi“, jako organizujący się z razu w „tiągła“, tj. w sprzężaje ludzkie. Przyjętem było, że jedna socha przypada na dwóch dorosłych mężczyzn; jeden zaprzężony do sochy, a drugi kroczy za nią; na gruntach „ciężkich“ liczono po trzy osoby na „tiągło“. W miarę rozpowszechnienia koni (bydła rogatego zaczęto używać do roli znacznie później) przestali się zaprzęgać ludzie, aż w końcu zaginęła świadomość pierwotnego stanu rzeczy. Takich więc rolników liczono na „tiągła“, bo dla dochodów książących obowiążąca była ilość głów, chodziło o ilość soch, jakie można było wprawić w ruch.

Kiedy od połowy XIII. wieku Tatarzy stali się zwierzchnikami krain moskiewskich i Rusi południowej, ustanowiono pogrówne i daninę tatarską od „sochy“, przez co rozumiano obszar, na którego uprawienie trzeba było 2—3 ludzi i 2—3 koni, stosownie do natury gruntu.

Istniała własność ziemską osobista u włościan, ale obok tego i własność „wołostna“; do wołosti przechodziły grunty opuszczone, tudzież osób zmarłych bez dziedziców.

Nie wszyscy jednak „krestianie“ posiadali ziemię na własność. Wyraz ten nie oznaczał bowiem z razu warstwy społecznej, lecz tylko rodzaj zajęcia. Każdy, kto pracował przy gospodarstwie wiejskim własnymi rękoma, zwał się w XV. wieku „krestian“, bez względu na to, czy pracował na własnym, czy na cudzem. Były też osady robocze wiejskie ludzi sprowadzanych z rozmaitych stron, a wolnych osadników, zobowiązanych tylko do „tiągła“. Stosunek ich do właściciela rozmaity. Najstarszą i najbardziej rozpowszechnioną warstwę stanowią tzw. „połownicy“, tj. dzierżawcy wolni, oddający właścicielowi połowę plodów. Wi-

dzimy z tego, jak warunki dzierżawne były o wiele cięższe, niż w Polsce.

Nie brak też było w krajach moskiewskich XV. wieku robotników rolnych niewolnych, kupnych. Tych nie liczyło się do „krestian“; tacy nazywali się „chołopami“. Określenie stosunku do niewolnika było wyłącznie rzeczą jego pana.

W krainach pskowskich i nowogrodzkich panowała trzypółwka powszechnie już w drugiej połowie XV. wieku, podczas gdy we właściwej Moskiewszczyźnie było jeszcze rolnictwo koczownicze, tj. że siało się i orało na ziemi dziewiczej i dlatego żyznej, przez kilka lat zaledwie, zazwyczaj tylko przez trzy lata, poczem rzucało się to miejsce, szukając znowu ziemi nowej. Tam daleko, koło Moskwy i za Moskwą, a zwłaszcza w przepastnych północno-wschodnich obszarach Moskiewszczyzny, było jeszcze pełno ziemi „pustynnej“, i można sobie tam było swobodnie wybierać i ziemię i warunki jak najdogodniejsze — jeżeli kto decydował się na życie wśród stosunków zacofanych i bardzo twardych.

Interes osadniczy Wielkich Książąt moskiewskich i pierwszych carów wymagał, żeby ściągać osadnika do pustek północnych na jak najdogodniejszych warunkach; toteż spotykamy nawet w XVI. wieku jeszcze spółki wieśniacze, przesiedlające się na północ, ażeby utworzyć tam na ziemi darowanej przez W. Księcia całe nowe „wołosti“. Potem dopiero następował podział tej ziemi na gospodarstwa osobiste (indywidualne), a to w formie odkupu od „wołosti“.

Epokowe znaczenie dla spraw ludu wiejskiego w państwie moskiewskim miało zdobycie Kazania (1552 r.). Odtąd roztwierały się przed tem państwem horyzonty handlowe jak najrozleglejsze, gdy cała Wołga znalazła się już w jego granicach. Przedsiębiorczość handlowa ogarnęła też całe społeczeństwo nagle w stopniu niebывałym; wszyscy zaczęli spekulować, podróżować, handlować. Po krótkim czasie zabrakło rąk do rolnictwa, bo ludność rzucała się w świat szeroki, żeby handlem bogacić się szybko. Znaczne

fortuny rosły niemal na podorędziu, ale coraz znaczniejsze przestrzenie roli uprawnej zamieniały się na nieużytki, dla braku rąk roboczych. Handel na Powołżu był tak niezmiernie intratny, a tak mało wymagał inteligencji i wkładów, iż trudno było oprzeć się pokusie, żeby nie porzucić wszystkiego, a nie rzucić się do jakiegokolwiek uczestnictwa w handlu. Znali te pokusy doskonale kazańscy Tatarzy, toteż u nich od dawien ludność rolnicza była przypisana do gleby, bo inaczej... nie byłoby rolnictwa. Po zdobyciu Kazania przez Moskali udzieliło się to samo po niedługim czasie zdobywcom. Jeszcze przed końcem XVI. w. okazały się w społeczeństwie moskiewskim ujemne skutki tłumnego porzucania rolnictwa dla handlu; nastąpiły przewroty, które groziły wywrotem państwu, a społeczeństwu wygłodzeniem. Ostatecznie nie było innej rady, jak oprzeć się na poprzednim wzorze tatarskiego, kazańskiego ustroju społecznego: z a p r o w a d z i ć p r z y m u s o w ą u p r a w ę r o l i. Włościanin stawał się „chołopem“, niewolnikiem, osadzonym na roli. Stan ten obowiązywał około r. 1620 już w całym państwie moskiewskim.

W Moskwie było niewolnictwo, gdyż „chołopa“ można było odsprzedać — w Polsce zaś tylko poddaństwo bez niewoli. Ale i to poddaństwo nie tak prędko dało się w Polsce przeprowadzić.

9. Piechota wybraniecka. Okres patrymonialny. W Polsce a za granicą.

Gospodarstwo folwarczne szerzyło się z Polski, od Sandomierza przez województwo czerwonoruskie na Wołyń, Podole i Ukrainę, gdzie niezmiernie obszary zaczynano dopiero kolonizować i zajmować pod rolnictwo. Osadnika ściągano z zachodnich ziem polskich, przeważnie z przeludnionego Mazowsza — a chcąc go pozyskać, trzeba było ofiarować mu dobre warunki.

Chociaż z końcem panowania Zygmunta Augusta (1548—1572) włościanin musiał się wykupić, chcąc się prze-

siedlić, a chociaż podczas pierwszego bezkrólewia w r. 1573 ustawowo określono przypisanie włościanina do gleby — jednakże stosunki rzeczywiste życia praktycznego paraliżowały te dążenia szlachty.

Im więcej dochodu dawało rolnictwo, tem usilniej próbowała szlachta utrzymać siły robocze na wsi. Niegdyś opiekun składał rachunki tylko z czynszów, trzód i stadnin; ustawa jednak z r. 1566 nakazywała już zdawać rachunki z obrotu dochodu, stwierdzając, że zbiór ziarna daje już więcej intraty, aniżeli czynsze i stadniny. Pragnęła więc szlachta rozszerzać folwarki i radaby przeszkodzić swobodnemu ruchowi ludności wiejskiej — ale usiłowania te nie zdały się jeszcze na nic.

Lud przesiedlał się ciągle, bo przez pewien czas znajdował jeszcze zarobek po miastach; gdy zaś w ciągu XVII. wieku miasta podupadały, otwierały się zato coraz bardziej ziemie ruskie dla osadnictwa polskiego.

Niebawem — po pokonaniu Moskwy — miały być granice państwa wielce rozszerzone ku wschodowi.

Zacząło się to za króla Stefana Batorego (1576—1586) wśród zwycięskich wojen z carami moskiewskimi. Król Stefan wprowadził podczas tych wojen w porozumieniu z hetmanem Janem Zamojskim nowość, która mogła być nabrać dla Polski znaczenia pierwszorzędnego. Ustanowili t. z. piechotę wybraniecką, do której wybierano co dwudziestego kmiecia z królewszczyzn. Rodziny takich kmieci uwalniano od wszelkich powinności, przez co stawały się zamożniejsze i zyskiwały we wsi stanowisko wybitniejsze. Gdyby syn po ojcu obierał w takich warunkach zawód wojskowy, wytworzyłaby się pośród kmieci warstwa żołnierska, któraby podniosła znacznie godność włościanstwa. Tacy „wybranieccy“ staliby się z czasem przodownikami ludu wiejskiego. Gdyby wybieranie piechoty kmiecej rozszerzyło się z czasem także na dobra duchowne i szlacheckie, ogarnąłby cały lud polski nowy prąd. A czyż całe znaczenie i wszystkie swobody stanu szlacheckiego w Polsce nie rozwinęły się z powinności służby wojskowej?

Pod Wielkimi Łukami otrzymał w r. 1580 od króla

szlachectwo za waleczność piechur wybraniecki, Mazur Wieloch, a podobna nagroda spotkała potem jeszcze kilkudziesięciu innych wiarusów. Zdarzało się potem w Polsce, że całe wsie naraz „nobilitowano“, tj. obdarzano szlachectwem. Nie mało jest wsi, w których ludność wie z tradycji po przodkach, że są polską szlachtą (odebrały im potem szlachectwo rządy państw zaborczych, Austrii, Prus i Rosyi).

Rozległe zdobycze wschodnie za następnego panowania króla Zygmunta III. Wazy (1587—1632), rozszerzające granice państwa daleko na wschód, dawały korzyść ludności rolniczej — i dlatego zubożenie miast nie dawało się jeszcze we znaki Polsce. Szła tłumna emigracja ludu wiejskiego do wschodnich krajów ruskich. Młodzież wiejska miała gdzie szukać losu, powstrzymało się nieco dalsze dzielenie gruntów kmiecyh. Na dalekiej Rusi, zwłaszcza w województwie smoleńskim, dostawało się łan za byle co, za mały czynsz, za kilka dni robocizny w roku, często na początek, na pierwszych lat dziesięć, za darmo zupełnie, bo chodziło o to, żeby te ziemie zaludnić, zagospodarować. A skutek z tego był taki, że szlachcic w Małopolsce i Wielkopolsce nie mógł przeciążyć kmiecia, ani nawet zagrodnika, boby inaczej zbiegł na Ruś. Działo się więc ludowi wiejskiemu dalej dobrze, a stosunek do dziedzica polegał nadal na dobrowolnej obustronnej umowie. Dzięki zwycięstwom polskich hetmanów było dla ludu polskiego ziemi w bród!

Ale ten polski lud przepadał tam na Rusi dla Polski, bo od unji cerkiewnej brzeskiej (1596 r.) nie dbano już na Rusi o kościoły, starano się tylko o cerkwie unickie i lud ten ruszczył się zupełnie przez nabożeństwa ruskie. Na południowej Rusi przystawał też nieraz do Kozaków.

Kozaków ciągle przybywało. Wszyscy garnęli się do „rejstru“, a burzyli się, gdy królowi wypadło rozpuszczać zaciągi i rejestr zmniejszać. Kozaczyzna cała pragnęła chleba żołnierskiego, gdy tymczasem możnowładcy ruscy chcieli mieć z nich „chołopów“ do robót folwarcznych i przeciwni byli powiększaniu „rejstru“. Od tego zaczęły się smu-

tnej pamięci wojny kozackie, które stanowić miały wstęp do t. zw. „potopu“ za panowania Jana Kazimierza (1648—1668). Obroniła się Polska od tych wszystkich najazdów, ale wśród tych wojen kraj zubożał straszliwie. A czem cięższe były warunki materialne ogółu, tem więcej wzbijało się w górę możnowładztwo, jako ta warstwa, która zubożenie powszechne najmniej odczuwała, a nad zubożałym krajem tem łatwiej wywierać mogła przewagę.

Długie wojny sprowadzają zawsze przesilenia społeczne. Polska XVII. wieku miała 85 lat wojennych, a ledwie 15 lat pokoju. Chociaż większość tych wojen była zwycięską, chociaż i „potop“ i tureckie wojny przetrwał:śmy obronną ręką — jednakże upadły rzemiosła, upadł handel i zaczęła się klęska gorsza od wszystkiego: ruina miast polskich.

Przyrost ludności wiejskiej nie miał po co chodzić do miast, bo mieszczanom samym nie dostawało chleba. Nie było też gdzie emigrować, bo Smoleńszczyzna i Zadnieprze stracone, a Wołyń, Podole, Ukraina w ciągłych pochodach wojennych i niepokojach. Trzeba się było dopraszać zarobku u szlachcica w rodzinnej wsi, przystawać na zagrodnika, albo na większą robociznę, którą zaczęli pańszczyzną nazywać. Wolno było w owym czasie odejść kmieciowi ze wsi, jeżeliby dał na swoje miejsce innego; ale nikt nie odchodził, bo gdzie i poco?

Tylko na roli można było dojść do czego, a więc panami położenia byli właściciele ziemscy, a wszystkie inne stany stały się od nich zależne. Mieszczanin tylko od szlachcica mógł coś zarobić, a lud wiejski tylko przy szlachcicu mógł znaleźć utrzymanie.

Właściciel ziemski wolał założyć choćby mały folwarczek nowy — gdy go na większy nie było stać — niż dać nowy łąn na prawie kmiecem. Synowie kmiecy gnietli się też tak na działkach ojcowskich, że tu i ówdzie powstawały pomiędzy kmieciami na nowo wspólnoty rodowe. Młodszy synowie szli dalej na zagrodników.

Nastał w historii polskiej czas opacznego ruchu ludności. Zazwyczaj nadmiar ludności wiejskiej

przenosi się do miast; teraz przeciwnie, synowie mieszczan uciekali na wieś, żeby mieć z czego żyć. Szli na pisarczyków, na gorzelników, czasem udało im się dostać jaką dzierżawkę w dobrach kościelnych. Uciekali z miast rzemieślnicy, a każdy znaczniejszy dziedzic miał w swych dobrach swojego krawca, szewca, zduna, bednarza, kowala, których robił jakby zagrodnikami po folwarkach.

Wyludniały się miasta, a zaludniała się gęsto wieś. A co nowych wsi powstawało! A folwarków ze zagrodniczemi osadami tysiące i tysiące! Cały kraj pokrył się tysiącami nowych dworów i dworków szlacheckich.

Nastaly za dwóch królów Sasów (1697—1763) czasy długiego pokoju, a społeczeństwo polskie poczęło się na nowo zagospodarowywać. Rozkwita na nowo wschodnie osadnictwo na ziemiach odzyskanych od Turcji, a zatem trzeba było włościanom ofiarowywać na wschodzie dogodniejsze warunki, co znów wpływać musiało na poprawę stosunków wiejskich także w zachodnich prowincjach państwa.

Rozróżniano cztery warstwy ludności włościańskiej: kmiecie, zagrodnicy, chałupnicy i komornicy.

Kmiecie, to potomkowie dawnych dzierżawców czynszowych. Kmieć, mający od dworu cały łan (co rzadko się już trafiało) tj. 30 morgów (czyli 15 dziesięcin), odrabiał za to cztery dni pańszczyzny na tydzień, posyłając swego parobka na robotę dworską. Jeżeli miał ćwierć łana, dostarczał dworowi parobka „na pańskie“ raz na tydzień. Grunt, na którym kmieć siedział, stanowił zawsze bez zmiany stałą, wieczystą i dziedziczną dzierżawę, której dwór nie miał prawa wypowiedzieć, póki kmieć czynił zadość swym obowiązkom. Mógł być dwór grunt kmiecy wykupić — zupełnie tak samo, jak przedtem skupywała szlachta sołectwa.

Drugą warstwę stanowili zagrodnicy, przyjęci na stałe do robót dworskich, folwarcznych, a otrzymujący za to mieszkanie i małe gospodarstwo własne. Odrabiali za to na pańskim dwa dni w tygodniu.

Trzecimi z rzędu byli chałupnicy, nie posiadający własnego gospodarstwa, tylko chałupę w pobliżu dworu

i niewielki ogród koło niej. Ci odrabiali jeden dzień w tygodniu, a podczas zniw płacono im po trzy grosze dziennie.

Takie same warunki mieli komornicy, czyli wyrobnicy wiejscy, stanowiący wiejską ludność napływową i pozostający w zależności od kmieci, mniej więcej w takim samym stosunku, jak kmiecie do dziedzica.

Gminy wiejskie posiadały samorząd w swych sprawach wewnętrznych, z wójtem, przysiężnymi i dziesiętnikami i same się rządziły, a tylko apelacya szła do dziedzica. Z każdej wsi wolno było jednemu iść do szkół — ale w tym okresie ciemnoty ledwie na sto wsi zdarzał się jaki kmiecy syn w szkołach.

Samorząd polskiej wiejskiej gromady przetrwał przez cały wiek XVIII. — a polskie poddaństwo ludu nie było w praktyce, ani w teorii bynajmniej niewolą. Upadał lud z innych przyczyn: utraciwszy styczność z miastami, zamknął się w swej wiosce rodzinnej, która stała się dla niego całym światem. Nędza małomiasteczkowego mieszczaństwa sprawiła zaś to, że do wszelkich interesów po wsiach zostali sami tylko Żydzi. Za czasów saskich każda wieś miała swego Żyda, który zarabiał na szlachcicu, a włościanina wyzyskiwał do cna.

Z początkiem XVII. wieku dotarło gospodarstwo folwarczne na południe aż do Kijowszczyzny.

Najpóźniej zawitał postęp rolniczy na Litwę i północną Ruś litewską — nie mówiąc jednak o Polesiu, posiadającym całkiem odrębne warunki gospodarcze. Litwa i Ruś Biała utrzymywały się bardziej z leśnego gospodarstwa, niż z roli; nawet w połowie XVIII. wieku większa jeszcze połowa gruntów litewskich była nieuprawna; co nie oznacza jeszcze nieużytku, lecz lasy i stawy, dające zresztą dochody znaczne. Przysłowie o rybach i grzybach pochodzi z Litwy.

Dopiero w XVII. w. zaprowadzono na Litwie t. zw. „trzyopolówkę“, a dopiero w drugiej połowie XVII. wieku przyjmuje się gospodarstwo folwarczne w najbardziej postępowem co do gospodarki województwie brzesko-litewskiem. Wzięto jednak górę gospodarstwo folwarczne nad

osadniczem dopiero na przełomie wieków XVII. i XVIII. i to tylko w rolnictwie.

W leśnictwie został na Litwie nadal jeszcze system osadniczy, mianowicie t. zw. „budnicy“, gospodarujący na pańskim za umówioną część płodów. A było gospodarstwo leśne na Litwie wielce urozmaicone i obfite: łowy, futra, mięswo solone, wędzone, węgiel drzewny, potas, ług, bartnictwo leśne, miód, wosk, łyko, kora do garbarń, smoła, żywica, mazie rozmaite, łuczywo, chodaki, kobiałki, obręcze, czopy, klepki itd., nie mówiąc już o drzewie ścinanem na opał i do robót stolarskich, tudzież o modrzewiowym sławnym budulcu i o słynących we wszystkich krajach nadmorskich masztach z jodły litewskiej.

I na Litwie wzięło jednak w końcu górę gospodarstwo folwarczne.

Gorączka do zakładania folwarków kusiła wprawdzie szlachcica, żeby nałożyć na kmiecia jak najwięcej robocizny, czyli pańszczyzny; ale z drugiej strony szlachta ta była ogromnie religijna i nadużycia zdarzały się rzadko. Rozpowszechniło się wprawdzie z Rusi wyrażenie „chłop“, nie pozbawione wówczas pewnego znaczenia pogardliwego — i w wieku XVIII. poddaństwo niewątpliwie już istniało, ale pamiętajmy, że pomimo wszystko, kmiecia nie można było rugować, bo grunt jego, to wieczysta dzierżawa i tak zostało, chociaż nie nazywano kmieci dzierżawcami, lecz „poddanymi“. Gnięli się potomkowie starych kmiecych rodzin na działkach łąnów, ale ciężarów nie można było nakładać na nich samowolnie większych, niż było z dawna umówione. Zwiększona robocizna powstawała jednak przez obustronną umowę, a to w następujący sposób:

Kmieć na małej działce był zrujnowany, gdy przyszła na jego gospodarstwo klęska, pożar, powódź, czy pomór bydła, lub lata nieurodzaju. Taki drobny gospodarz nie mógł przetrzymać żadnej klęski. Ale taki drobny rolnik miał sporo czasu wolnego, bo mały grunt nie zajmował mu sześciu dni w tygodniu. Było też w takiej chacie sporo rąk roboczych, a bez pracy, bo kmieć wszystkie dzieci

trzymał przy sobie, skoro w miastach nie było zarobku. I dla tych przyczyn pozmieniano w owe czasy prawie wszędzie prawo kmiecy w ten sposób, że kmieć dawał szlachcicowi coraz więcej robocizny, a za to szlachcic zobowiązywał się wspomagać kmiecia po każdej kłęsce — czego w starym prawie zwyczajowym wcale nie było. Bardzo często zobowiązywał się szlachcic przeżywać rodzinę kmiecia na każdym przednowku.

Powiększenie pańszczyzny nie było więc za darmo i nie ze zdzierstwa poszło, ale było prostym skutkiem rozdrobnienia gospodarstw kmiecych. Każda strona dawała drugiej to, co miała: kmieć szlachcicowi czas wolny i ręce w chacie nie zajęte — dziedzic kmieciowi zapomogę w każdej biedzie. Nastał czas jakby opieki dworu nad chatą. Stosunek taki zowie się *p a t r y m o n i a l n y*, a słowo to miało w XIX. wieku wejść nawet do ustawodawstwa. Opieka ta była obowiązkiem w zamian za zobowiązanie do większej pańszczyzny. Lud wówczas wcale a wcale na to nie wyrzekał, bo był to jedyny sposób do wybrnięcia z ciężkiego położenia na małej działce, a przy zupełnym braku jakiegokolwiek zarobku ubocznego i wobec konieczności żywienia wszystkiego potomstwa na roli.

Podniósł się więc znowu dobrobyt włościan, skoro żadna kłęska, choćby najgorsza, nie mogła go zamienić w nędzarza, w żebraka — bo dwór zawsze go uratował. I byłby włościanin z „czasów saskich“ w Polsce miał się wcale dobrze (będąc na wszelkie kłęski asekurowanym niejako we dworze), gdyby nie to, że rozpowszechniło się strasznie pijaństwo. Ale tu — co prawda — zły przykład szedł z góry, od szlachcica. Dobrobyt przy nieuctwie wiódł do pijaństwa, bo człowiek ciemny nie umiał sobie życia uprzyjemnić czem innym, jak pijaństwem.

Stosunek chaty do dworu w państwie polskim nie ze wszystkim był chwałebny; nikt temu nie przeczy, ale też każdy miłujący prawdę musi przyznać, że poddaństwo ludu było nie w samej tylko Polsce, lecz w całej Europie, a w wielu krajach działo się ludności wiejskiej gorzej, niż w Polsce.

Wszystko złe, co wiemy o położeniu ludu w Polsce, błędnie wobec tego, co działo się z włościanami w księstwie Cieszyńskim, na Śląsku — żeby sięgnąć do krainy najbliższej, do krainy polskiej, lecz nie należącej do państwa polskiego, a więc pozostającej pod prawodawstwem wcale nie polskiego pochodzenia i pomysłu, pod „prawem cesarskim“ Habsburskiej dynastji.

Na przełomie XVII. i XVIII. wieku zaczynają się tam na Śląsku niepokoje, które trwają niemal przez cały wiek XVIII. z niedużemi przerwami, przechodząc kilka razy w krwawe rozruchy. Poprawy doli szukał chłop śląski... gdzie? oto ucieczką do ościennej Polski! A zatem widocznie w Polsce było lepiej. Już w r. 1699 i 1709 skarżą się na to Stany śląskie, że włościanie „masami uciekają ze wszystkim“, tj. z rodzinami i dobytkiem, za polską granicę. W r. 1714 dowiadujemy się, że „emigracya poddanych śląskich, szczególnie ze wsi, sąsiadujących z królestwem polkiem, zaczyna być powszechna“. W cztery zaledwie lata następują ponowne skargi i ustanawia się kary za namawianie do takiej emigracyi, ażeby „odstraszyć skutecznie poddanych śląskich, którzy od kilku lat w coraz większej liczbie zbiegali do Królestwa polskiego“. Niedługo potem stwierdza atoli raport wyprawiony do rządu centralnego w Wiedniu, że „emigracya do Polski wzrasta. Należy więc radzić zawczasu, jeżeli nie mają wydarzyć się nowe rozruchy“.

Cesarzowa Marja Teresa wydawała raz wraz odezwy i okólniki do ludu śląskiego. „Upominamy poddanych, aby się spokojnie zachowywali, czekali na rozpatrzenie sprawy, a tymczasem żeby spełniali bez oporu swe powinności na rzecz panów, żeby deputacyj do nas nie posyłali, jeżeli nie chcą się narażać na karę cielesną, lub nawet gardłową“.

A zatem nie było skąd czerpać wzorów, jeżeli chodziło o reformę życia wiejskiego w Polsce! Co przodkowie nasi w tych najsmutniejszych i najcięższych czasach czynili dobrego dla „siermiężnej braci“ — robili to z własnego pomysłu. Ponowne nadanie stosunkowi chaty do dworu formy dzierżawnej (z dwoma przywi-

lejami dziedziczości i wieczystości), jest pomysłem polskim, starszym od wszelkich „reform józefińskich“.

Myśl ta zabłysnęła po raz pierwszy w prowincyi ze wszystkich polskich zawsze najbardziej postępowej, t. j. w Wielkopolsce, gdzie w r. 1742 spróbował tego systemu kanonik poznański, ksiądz Świnarski. Stamtąd przeszła myśl zdrowa na sąsiednie Mazowsze, przyjęta jaknajchętniej przez zacnego kanclerza Andrzeja Zamojskiego. Rozwinął następnie ten pomysł i opracował świetnie w szczegółach słynny ks. Paweł Brzostowski, autor wydanych dla swych dóbr „Ustaw“, mających ludowi zapewnić nie tylko dobrobyt, ale i oświatę. Około r. 1770 dobra myśl miała już na dalekiej Litwie wyznawców i propagatorów. Wszak w r. 1773. ksiądz Karpowicz nieważ w Wilnie kazania na „obronę chłopską“. Następnego roku wyszła książka ks. Popławskiego p. t. „Zbiór niektórych materyj politycznych“, w której obok innych reform domaga się ochrony prawnej ludu wiejskiego. Na sejmie zjawia się sprawa chłopska już w r. 1775, wniesiona tam przez Augusta Sułkowskiego, a popierana przez dwóch innych posłów, Frankowskiego i Jezierskiego; powtórnie zaś przy sposobności przedstawienia sejmowi kodeksu praw, ułożonego przez Andrzeja Zamojskiego — i wraz z nim odrzucona, lecz nie pogrzebana bynajmniej.

Sprawa była zbyt wielka i zbyt sięgająca w głąb życia społeczeństwa, żeby mogła być załatwioną od razu! Zresztą takich reform nie zna Historia! Sprawa włościańska wygrywała wiele przez to samo, że nie schodziła już z narad publicznych i że zbliżała się stopniowo do załatwienia ustawowego — tymczasem zaś załatwianą bywała coraz częściej prywa tnie, przez właścicieli dóbr na własną rękę.

Oczynszowanie włościan wprowadzono w dobrach synowca królewskiego, Stanisława Poniatowskiego, podkanclerzego Chreptowicza, Anny Jabłonowskiej, Stanisława Potockiego, Jacka Jezierskiego, Franciszka Bielińskiego — i około roku 1790 stawało się to coraz powszechniejszem. Szedł na całą Polskę prąd, którego pochodzenia nie dało się już wstrzymać.

Oczynszowanie włościan przyjął do swego programu Tadeusz Kościuszko, sam ziemianin, gospodarujący osobiście na dziedzicznej wsi swojej. Kiedy wrócił z wojny amerykańskiej, prąd ku oczynszowaniu płynął jeszcze łożyskiem wąskim, które jednak rozszerzało się z roku na rok szybko.

10. Kościuszkowskie czasy.

Tadeusz Kościuszko, obejmując w r. 1785 gospodarstwo w dziedzicznych swych Siechnowicach (w województwie brzesko-litewskim), zmniejszył odrazu pańszczyznę. Zarządził, żeby nie było z chaty więcej robocizny, jak dwa dni pańszczyzny męskiej, niewieścią zaś zniósł całkiem. Uważał to za stan przejściowy, bo dążeniem jego było obdarzyć włościan siechnowickich zupełną wolnością, a zatem wyrzec się całkowicie pańszczyzny, poprzestając na tem, co wyniknęłoby z dobrowolnej umowy z włościanami, jako wolnymi najmitami. Od razu nie można było przystąpić do tego, bo stanowiłoby to istną rewolucję nagłą, nie pozbawioną stron niebezpiecznych dla samych obdarzonych wolnością włościan, pogrążonych w ciemnocie. Należało przedtem podnieść choć trochę poziom oświaty.

Kościuszko wskazał współziemianom kierunek, dokąd zmierzać należy. W jakikolwiek sposób rozwiązano by następnie sprawę włościańską, pańszczyzna musiałaby być zniesioną w każdym razie. Stanowić to musiało nieuchronny krok wstępnym. Otwierały się dalej trzy drogi:

Ogłosić włościanina wolnym, nie troszcząc się, co on z wolnością pocnie i czy na wolności nie będzie przy mierzał z głodu. Własnej ziemi włościanin nie posiadał, a z chwilą zniesienia pańszczyzny dwór nie miałby względem włościan żadnych obowiązków. Włościanin uwolniony w taki sposób, wolałby może wracać do pańszczyzny, która zapewniała mu dach nad głową i kęs chleba pewny, niezawodny, chociaż może nie zawsze smaczny, bo gorzki od zawistości osobistej.

Drugi sposób polegałby na uwłaszczeniu włościan, tj. żeby im dać na własność używane dotychczas grunta dworskie. Nie mogłoby się to stać bez wynagrodzenia dla dworów, które pozbawione od jednego razu pomocy roboczej i znacznej części (z reguły trzeciej części) posiadłości swych, byłyby skazane na bankructwo, tak dalece niezawodne, iż chyba tylko wielcy magnaci zdołaliby przetrwać tak ciężkie przesilenie. Wyniknęłaby z tego ruina ogólna, upadek rolnictwa wręcz beznadziejny. Wynagrodzenie szlachty było koniecznem, a więc w uwłaszczenie musiałyby państwo wdać się i finansowo, podejmując potrzebne do tego operacje finansowe i udzielając im gwarancyi. Żadne państwo (nietylko Polska) nie zajęłoby się wówczas przedsięwzięciem tego rodzaju; leżało to jeszcze poza granicą pojęć o państwie. Polska, nie trzymając się rutyny, wyprzedzająca w niejednej sprawie współczesną Europę, w tej sprawie miałyby jednak ręce skrępowane ubóstwem swego skarbu państwowego, choćby nawet teoretycy gotowi byli iść jak najdalej.

Trzeci sposób był pośredni i już wypróbowany, a mianowicie oczynszowanie włościan. Byłby to powrót do stosunków pierwotnych, do dawnego kmiecego systemu dzierżawnego. Włościanin miał opłacać dworowi czynsz za używanie pańskiej ziemi, używając przytem tego przywileju, że dzierżawa była wieczystą, a czynsz z niej nie mógł być podniesiony, ani zamieniany na robociznę. Kogo stać było na to, mógł czynsz skapitalizować, spłacić naraz za całą przyszłość i nabyć grunt na własność. Ten sposób nie zagrażał szlachcie ruiną, był najzupełniej sprawiedliwy, a otwierał możność uwłaszczenia bez wdawania się państwa w sposób wykonania rzeczy, w miarę, jak rodziny włościańskie dorabiałyby się własnego majątku. Tylko o tym trzecim sposobie można było w Polsce myśleć.

Jak już zaznaczono w poprzednim rozdziale, nie miała Polska skąd czerpać wzorów do urządzenia swych stosunków włościańskich. Nie sądźmy, jakoby np. Kościuszcze przyświecała w tym względzie jakowaś praktyka amerykańska.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej miały u siebie

niewolę, i to bezwzględną, posuniętą do tego, że człowiek stawał się rzeczą, własnością drugiego człowieka, którą można każdej chwili kupić i sprzedać. Gospodarstwo rolne opierało się tam na pańszczyźnie niewolników murzyńskich, ale to bez ograniczenia, na pańszczyźnie, której rozmiary zawisły od woli właściciela, posiadającego nawet prawo życia i śmierci nad kupionym niewolnikiem, względem którego pan nie miał żadnych a żadnych obowiązków. Mógł niewolnika głodzić, bić, katować, sprzedać lub choćby zabić. Taka niewola trwała tam aż do roku 1865.

Wielka rewolucja francuska, która wybuchła 1789 r., ogłosiła równość stanów, ale reformą stosunków włościąńskich zajmowała się tylko ze strony wolności osobistej, a nie z ekonomicznej. Istniała też walna różnica polskich a francuskich stosunków rolniczych: Szlachcic francuski czerpał tylko dochody z ziemi, ale (z wyjątkiem niektórych prowincyj północnych) na niej nie pracował. Nieznany zupełnie Francuzom był przykład szlachcica-rolnika, człowieka tego samego zajęcia, co chłop, często na równi z nim spracowanego, sąsiada chłopca, towarzysza jego na roli i w kościele. Stamtąd wzorów żadnych Polska czerpać nie mogła.

Nie można się też powoływać na ograniczenia pańszczyzny, wprowadzaną w państwach habsburskich przez cesarza Józefa II. (1765–1790), gdyż nie zmierzały one do żadnego zasadniczego zreformowania stosunków wiejskich, poprzestając na zniesieniu nadużyć, a przytem — warstwa szlachty wioskowej, o którą u nas głównie chodziło, tam także nie istniała. Same zaś stosunki włościąńskie wymagały pod berłem cesarskiem Habsburgów naprawy jeszcze bardziej, niż w Polsce, bo więcej tam było nadużyć (o czem świadczą stosunki śląskie!)

Reformy państwowe i społeczne przeprowadził sejm czteroletni, zwan słusznie Wielkim (1788—1792), którego główne dzieło: „Konstytucję Trzeciego Maja“, uchwaloną 3 maja 1791 r., zaprzysięgał Kościuszko wraz ze swą brygadą z najwyższą radością w Międzybożu, gdzie stacyonował natenczas, jako generał-major.

Sejm Wielki zajmował się sprawą włościańską wiele i wielostronnie. W ustawie Trzeciego Maja czytamy, co następuje:

„Lud rolniczy, z pod którego ręki płynie najobfitsze źródło bogactw krajowych, który najliczniejszą w narodzie stanowi ludność, a zatem najdzielniejszą kraju siłę — tak przez sprawiedliwość, ludzkość i obowiązki chrześcijańskie, jako i przez własny interes dobrze zrozumiany, pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjmujemy, stanowiąc: iż odtąd, jakiebykolwiek swobody, nadania lub umowy dziedzice z włościanami swych dóbr autentycznie ułożyli, czyliby te swobody, nadania i umowy były z gromadami, czyli też z każdym osobno wsi mieszkańcem zrobione, będą stanowić wspólny i wzajemny obowiązek, podług rzetelnego znaczenia warunków i opisu, zawartego w takowych nadaniach i umowach, pod opiekę rządu krajowego podpadający. Układy takowe i wynikające z nich obowiązki przez jednego właściciela gruntu dobrowolnie przyjęte, nietylko jego samego, ale i następców jego lub prawa nabywców tak wiążące będą, iż ich nigdy samowolnie odmieniać nie będą mogli“.

„Chcąc jak najskuteczniej zachęcić pomnożenie ludności kraju, ogłaszamy wolność zupełną dla wszystkich ludzi, tak nowo przybywających, jako i tych, którzy pierwiej z kraju oddalwszy się, terazby do ojczyzny powrócić chcieli, tak dalece, iż każdy człowiek do państw Rzeczypospolitej nowo z którejkolwiek strony przybyły lub powracający, jak tylko stanie nogą na ziemi polskiej, wolnym jest zupełnie użyć przemysłu swego, jak i gdzie chce; wolny jest czynić umowy na osiadłość, roboczną lub czynsz, jak i dopóki się umówi; wolny jest osiadać w mieście lub wsiach...“

Stanowiła tedy Konstytucja Trzeciego Maja, że odtąd lud wiejski ma być pod ochroną prawa publicznego, tak samo jak inne stany; że zdolność prawna chłopca nie ogranicza się do gromady i dziedzica wioski, lecz idzie wyżej. O stosunkach prawnych ludu wiejskiego stanowi odtąd nie sama szlachta, posiadająca dobra ziemskie, lecz będzie o tem stanowił sejm.

Ustawa Trzeciego Maja miała podlegać rewizji co 25 lat. To, co postanowiono 3 maja 1791 r., posiada znaczenie przez lat 25, poczem nowy sejm konstytucyjny określi nowe prawa dla ludu wiejskiego, zrównując go coraz bardziej, a może już w zupełności, z innymi stanami. Na najbliższe więc lat 25 uchwalono, że wszelkim umowom ze dworem nadaje się walor prawny — to znaczy, że w razie złamania umowy można dochodzić tego drogą prawną, sądową.

Wszelkie oczynszowanie włościan, tj. zamianę robocizny na czynsze, uznaje się za akty prawne, podpadające opiece prawa, tj. że już tego jednostronnie zmieniać nie wolno, a ktoby chciał zmieniać samowolnie, dopuszcza się przestępstwa i naraża na kary. Gdzie raz zniesie się robocizną, tam nigdy już nie wolno przywracać jej. Ci zaś, którzyby chcieli przenieść się do państwa polskiego z poza kordonów pierwszego rozbioru, z dawnych, utraconych w r. 1772 obszarów państwa polskiego, są zupełnie wolni, mogą osiedlać się dowolnie, gdzie im dogodniej, a jeżeli chcą pracować na cudzym gruncie, zawrą z dziedzicem umowę obopólną, której dotrzymania dopilnuje w razie potrzeby władza państwowa.

Konstytucja Trzeciego Maja torowała tedy drogę oczynszowaniu na wielką skalę, które z czasem musiałyby stać się powszechnem, na co wyznaczono okres przejściowy lat 25.

Przeciw Konstytucji Trzeciego Maja wystąpiła Rosja, używszy za narzędzie smutnej pamięci konfederacji targowickiej. Targowiczanie z pomocą wojsk rosyjskich opanowali rządy i zaraz znieśli wszystkie reformy Sejmu Wielkiego.

Przeciwko wojskom rosyjskim, które zajmowały cały kraj, wybuchło w r. 1794 powstanie pod wodzą Tadeusza Kościuszki, ogłoszonego Naczelnikiem narodu. Na tem stanowisku działał Kościuszko dalej w sprawie włościańskiej, Wiadomo powszechnie, jak powoływał lud pod broń w obronie Ojczyzny, jak sławni kosynierzy krakowscy wygrali bitwę pod Raclawicami dnia 4 kwietnia 1794 r., i jak Na-

czelnik okazał im za to uznanie w ten sposób, że przywdział krakowską sukmanę. W bitwie tej odznaczył się Wojtek Bartos, przezwiskiem Głowacz, włościanin kniazia Szujskiego ze wsi Rzędowic w Krakowskiem. Został natychmiast na polu bitwy mianowany chorążym i tytułowany jest od razu panem Wojciechem Głowackim, bo tak odezwał się do niego sam Naczelnik.

Kościuszek był osobiście za nadaniem włościanom zupełnej wolności zaraz i należał do tych, którzy gotowi byli iść w tej sprawie najdalej; była to istotnie jedyna sprawa, w której podzielał przekonania radykalnego skrzydła. Wiemy o tem z listu do siostry, Estkowej, w którym pisze, że byłby uwolnił w zupełności z poddaństwa swych włościan w Siechnowicach, gdyby nie rządy targowickie, które zniosły i kasowały wszelkie reformy i nie dopuszczały ani nawet oczyszczowania.

„Insurekcyja“ Kościuszkowska przywracała konstytucyę Trzeciego Maja.

Kościuszek miał wprawdzie teraz władzę w rękę, ale nie wolno mu było zmieniać konstytucyi Trzeciego Maja; gdyby mu zaś było wolno, także nie posunąłby się poza postanowienia obowiązującej konstytucyi, boć był zbyt rozsądnym, żeby się zapędzać przedwcześnie. Z całej jego taktyki, przestrzeganej w sprawie włościańskiej, znać, że chciałby posunąć kwestyę naprzód, ale tak, żeby szlachcie nie narzucać rzeczy przemocą i nie wywoływać żadnego przewrotu społecznego. Bezwarunkowo był przeciwny jakiemukolwiek naśladowaniu rewolucji francuskiej.

Z obozu pod Winiarami (pod Nowym Korczynem) wydał Naczelnik dnia 2 maja 1794 uniwersał do dziedziców, dzierżawców i rządców, żeby przyznawać ulgi każdemu rekrutowi, a mianowicie, żeby gospodarstwu takiemu ująć pańszczyzny przynajmniej o jeden dzień w tygodniu, „w czem każdemu województwu osobno wolno będzie hojniej postąpić“. Gdzie zostałyby chwilowo wezwana cała gromada do pospolitego ruszenia „czyli obławy na nieprzyjaciela“, tam przez ten czas dwór obowiązany jest mieć „najtroskliwsze

staranie o pozostałych wdowach, kobietach, żonach i dzieciach obrońców wspólnej Ojczyzny“.

Takimto „uniwersałem“ począł się zaznaczać powrót do piechoty wybranieckiej; powrót nieświadomy, bo zagięła, niestety, tradycja tamtej piechoty.

Gdzież w całym świecie rzekano się dobrowolnie koczyści z pańszczyźnianej robocizny? W jednej tylko Polsce!

Nie wszyscy jednak stosowali się do poleceń Kościuszki. Idzie tedy Naczelnik o krok dalej, i nadaje nakazom swym sankcję karną, tj. postanawia kary na opornych. Obwieszcza, że „uciśniony człowiek ma ucieczkę do Komisji Porządkowej swego województwa“, że „ciemnizyćiel, prześladowca obrońców kraju, jako nieprzyjaciel i zdrajca Ojczyzny karany będzie“.

Uczylił Kościuszko krok dalszy, i to stanowczy, ale bez najmniejszych dążności rewolucyjnych, nie przekroczywszy ani na jotę granic Konstytucji Trzeciego Maja. Dnia 7 maja 1794 r. wydał bowiem:

„Uniwersał urządzający powinności gruntowe włościan i zapewniający dla nich skuteczną opiekę rządową, bezpieczeństwo i sprawiedliwość“.

Jestto t. zw. słynny manifest połaniecki, zawierający przepisy wydane do Komisji Porządkowych wojewódzkich, a zebrane w 14 punktów. Przytacza się je tu w całości:

„Ogłosić ludowi, iż

„1) podług prawa zostaje pod opieką rządu krajowego.

„2) że osoba wszelkiego włościanina jest wolna i że mu wolno przenieść się, gdzie chce, byleby oświadczył Komisji Porządkowej swego województwa, gdzie się przenosi i byleby długi winne oraz podatki krajowe opłacił.

„3) że lud ma ulżenie w robociznach, tak, iż ten, który robi dni 5 lub 4 w tygodniu, ma mieć opuszczone dni dwa; kto robił dwa dni, ma mieć opuszczony dzień jeden. Dla tego, kto robił pańszczyznę we dwoje, mają być opuszczone dni po dwoje. Kto robił pojedynczo, mają mu być dni opuszczone pojedynczo. Takowe opuszczenie trwać

będzie przez czas insurrekcyi, póki w czasie władza prawodawcza stałego w tej mierze urzędzenia nie uczyni.

„4) Zwierzchności miejscowe starać się będą, aby tych, którzy zostają w wojsku Rzeczypospolitej, gospodarstwo nie upadało, i żeby ziemia, która jest źródłem bogactw naszych, odłogiem nie leżała; do czego równie dwory, jako i gromady przykładać się powinny.

„5) Od tych, którzy wezwani będą na pospolite ruszenie, póki tylko zostawać będą pod bronią, pańszczyzna przez ten czas nie będzie wyciągana, lecz dopiero rozpocznie się od powrotu ich do domu.

„6) Własność posiadanego gruntu z obowiązkami do niego przywiązanymi, podług wyżej wyrażonej ulgi, nie może być od dziedzica żadnemu włościaninowi odjęta (chybaby się wprzód o to przed dozorcą miejscowym rozprawił i dowiódł, że włościanin obowiązkom swym zadość nie czyni).

„7) Któryby podstarości, ekonom lub komisarz wykroczył przeciw niniejszemu urzędzeniu i czyniłby jakie uciążliwości ludowi, taki ma być wzięty, przed Komisją stawiony i do sądu kryminalnego oddany.

„8) Gdyby dziedzice (czego się nie spodziewam) nakazywali lub popełniali podobne uciski, jako przeciwni celowi powstania, do odpowiedzialności pociągnięci będą.

„9) Wzajemnie lud wiejski, doznając sprawiedliwości i dobroci rządu, powinien gorliwie pozostałe dni pańszczyzny odbywać, zwierzchności swojej być posłusznym, gospodarstwa pilnować, role dobrze uprawiać i zasiewać. A gdy takowa ulga uczyniona jest dla włościan z pobudek ratunku ojczyzny i właściciele przez miłość ojczyzny chętnie ją przyjmują: przeto włościanie nie mają się wymawiać od najmów, potrzebnych dworowi, za przyzwoitą zapłatą.

„10) Dla łatwiejszego dopilnowania porządku i zapewnienia się o skutku tych zleceń, podzielił Komisye Porządkowe, jak jest rzeczono w ich organizacyi, województwa albo ziemie lub powiaty swoje, na dozory, tak, ażeby każdy dozór tysiąc, a najwięcej tysiąc dwieście gospodarzy mieszkańców obejmował. Nadadzą tym dozorum

nazwiska od głównej wsi lub miasteczka i w takim zamkną je okręgu, żeby łatwa komunikacja być mogła.

„11) W każdym dozorze wyznaczą dozorcę, człowieka zdanego i poczciwego, który z włożonych na siebie obowiązków w organizacji Komisji Porządkowych, będzie odbierał skargi od ludu w jego uciskach i od dworu w przypadku nieposłuszeństwa lub niesforności ludu. Powinnością jego będzie: rozsądzać spory, a gdyby strony nie były kontente, do Komisji Porządkowej je odsyłać.

„12) Dobrodziejstwo rządu w ulżeniu ludowi ciężarów zachęcić go powinno bardziej jeszcze do pracy, do rolnictwa, do obrony Ojczyzny. Gdyby więc hultaje jacy, na złe używając dobroci i sprawiedliwości rządu, odwodzili lud od pracy, buntowali przeciwko dziedzicom, odmawiali od obrony Ojczyzny, Komisje Porządkowe w swoich województwach i powiatach pilnie na to mieć będą oko i natychmiast takowych hultajów łapać rozkażą i do sądu kryminalnego oddadzą. Niemniej Komisje Porządkowe czuwać mają nad włóczęgami, którzyby w tym czasie domy porzucali i po kraju włóczyli się. Wszystkich takowych ludzi chwycić i do Wydziału Bezpieczeństwa, w każdej Komisji będącego, oddawać trzeba, a po zrobionym egzaminie, gdy się tułaczami i próżniakami okażą, do robót publicznych używać.

„13) Duchowni, najbliżsi ludu nauczyciele, powinni mu przekładać, jakie ma obowiązki dla Ojczyzny, która też prawdziwą matką względem niego się okazuje. Cóż duchowni oświecać lud powinni: że pracując pilnie około roli swojej i dworskiej, równie miłą czyni Ojczyźnie ofiarę, jak ten, który ją orężem od zdzierstw, rabunków żołnierstwa nieprzyjacielskiego zasłania; że pełniąc powinność względem dworów, zwłaszcza tak sfolgowaną przez niniejsze urządzenie, nic innego nie czyni, tylko winny dług wypłaca dziedzicom, od których grunta trzyma.

„14) Duchowni obojga obrządków niniejsze urządzenie ogłaszać będą z ambon po kościołach i cerkwiach ciągle przez niedziel cztery i prócz tego Komisje Porządkowe

z grona swego lub obywatelów gorliwych o dobro Ojczyzny wyznaczą osoby, które objeżdżać będą gromady po wsiach i parafiach i onym toż urządzenie głośno czytać z zachęceniem ich, aby wdzięczni tak wielkiego dobrodziejstwa Rzeczypospolitej, szczerą ochotą w jej obronie wypłacili się”.

„Dan w obozie pod Połańcem dnia 7 maja 1794 r.

Tadeusz Kościuszko.

Manifest połaniecki zawiera wprawdzie postanowienia tylko na czas powstania, czyli, jak wówczas mówiono, „insurrekcyi“, lecz ulgi manifestem przyznane nie mogłyby potem przestać obowiązywać, bo jakżeż je cofać, skoro dążyło się jeszcze dalej, do zupełnego zniesienia poddaństwa ludu? Po oczyszczeniu kraju z najeźdźców zebrały się sejm, a że na obcą pomoc zwolennicy starych urzędzeń nie mogliby już liczyć w razie, gdyby Kościuszko wojnę wygrał, więc stronnictwo postępowe byłoby tem silniejsze. Według wszelkiego prawdopodobieństwa sejm taki nietylko utrzymałby w mocy postanowienie tymczasowe połanieckie, ale zrobiłby krok dalszy ku powszechnemu oczyszczaniu włościan. Sprawa włościańska stanowiłaby z natury rzeczy główny przedmiot następnych sejmów — aż do zupełnego zrównania stanów wobec prawa.

Manifest połaniecki zrobił swoje na obie strony. Uspokoił dziedziców, obawiających się o przewrót społeczny lub o ruinę rolnictwa, opierającego się na pańszczyźnie, bez której nie umieli gospodarować i dopiero uczyłby się tego musieli i obmyślać nowe formy gospodarstwa rolniczego na większą skalę. Pisał w tym czasie Kościuszko do Puław: „Nie francuską zaczynamy rewolucyę“ — a w tych kilku wyrazach ileż treści! To też opozycja przeciw umniejszaniu pańszczyzny zesła od razu do znikomej mniejszości, do rzadkich wypadków biernej niechęci.

Włościan manifest połaniecki poruszył. Nietylko w Koronie i wśród ludu etnograficznie polskiego, lecz także wśród ruskiego i litewskiego ludu objawiają się „niecierpliwie ich żądania być użytymi przy wojsku“. Piotr Bieliński (były marszałek sejmu grodzieńskiego), słyszał na własne

uszy w głębi Białorusi od chłopów, że „za pierwszą odezwą zbierze się ich do stu tysięcy“.

Niestety — szczęście wojenne nie dopisało Polsce. Po klęsce pod Maciejowicami 10 października 1794 roku Kościuszko wzięty był do niewoli, a następnego roku nastąpił trzeci i ostatni rozbiór Polski.

11. Po rozbiorach.

W dwanaście lat po trzecim rozbiorze, w roku 1807 powstało Księstwo Warszawskie. Skoro tylko mogli się Polacy sami rządzić choćby na skrawku Polski, nadano włościanom zupełną wolność osobistą, jak zalecała konstytucja Trzeciego Maja, zakładano szkółki wiejskie i zaczęto przygotowywać t. zw. uwłaszczenie, t. j. zamianę wieczystych dzierżaw kmiecych na kmieczę własność. Ale nie starczyło na to czasu. Księstwo, które istniało zaledwie siedm lat, a pogrążone było bez ustanku w wirze wojen napoleońskich, powstało dzięki Napoleonowi i wraz z Napoleonem upadło wiosną 1814 r.

Na kongresie wiedeńskim 1815 roku nastąpił rozbiór Księstwa Warszawskiego pomiędzy trzy państwa rozbiorowe: Austryę, Prusy i Rosyę. Nie pozwolono atoli carowi Aleksandrowi I. wcielić bezpośrednio do państwa rosyjskiego przyznanej mu części Księstwa, lecz utworzono z tej części jakby państwo niepodległe, związane wspólnością monarchy, i nadano temu zmyśleniu politycznemu szumny tytuł Królestwa Polskiego. Królem miał być każdorazowy car rosyjski. Nadano temu państewku konstytucyę, którą król-car łamał od samego początku i ścieśniał nieustannie. Był niby rząd własny, ale prawdziwym władcą kraju był brat carski, Wielki Książę Konstanty, zwany „człowiekiem-potworem“, o którym współcześni wyrażali się, że był „na pół małpą, na pół tygrysem“.

I pod takimi rządami próbowano robić, co się tylko dało pożytecznego; jakoż czasy Królestwa Kongresowego

(1815—1831) mają zapisaną niejedną chlubną kartę. Nie zaniedbywano też sprawy włościańskiej.

Sama konstytucja Kongresówki poręczała włościanom tylko wolność osobistą. Trzeba było zrobić krok dalej i nadać im ziemię, na której pracowali. Myślano o tem nie tylko w Kongresówce, ale i na Litwie. W r. 1817 polscy obywatele ziemscy dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego podali carowi Aleksandrowi I. prośbę o uwłaszczenie włościan. Dwa lata minęły, nim nadeszła odpowiedź, a była taka, że będzie skazany na Sybir, kto pod panowaniem cara ośmieli się mówić o uwłaszczeniu! Pokazało się, że przez upadek państwa polskiego najwięcej stracił ze wszystkich stanów lud wiejski na ziemiach dawnego państwa polskiego.

Wszystkie a wszystkie uwłaszczenia, nawet oczynszowania tylko, które ziemianie polscy przeprowadzili z własnej ochoty po ogłoszeniu konstytucji Trzeciego Maja, były przez rząd rosyjski skasowane. Rosya nie tylko pańszczyzny przestrzegąca w t. zw. Krajach Zabrzanych, ale zaprowadzała na wzór rosyjski niewolniczą zawistość ludu wiejskiego. Obowiązywało też prawo rosyjskie, że tylko szlachcie wolno posyłać dzieci do szkół.

Szczęściem, że przynajmniej szczupły obszar Kongresówki mógł się chociaż połowicznie rządzić własnymi prawami. Typem obywatela polskiego był w tych latach ks. Stanisław Staszic, uczony przyrodnik (geolog), roztropny polityk, wielki myśliciel. Z mieszczańskiego pochodzący stanu, pracował nad ekonomicznem podniesieniem kraju jeszcze za Stanisława Augusta, i należał zawsze do przywódców stronnictwa reform państwowych i społecznych. W dobrach swych w Hrubieszowie, w Lubelskiem, założył spółkę z włościan na podarowanych im wielkich obszarach i szkołę rolniczą dla młodzieży wiejskiej. Uwłaszczył wszystkich i w końcu cały klucz hrubieszowski spółce tej włościańskiej podarował. Toczyło się później na tej fundacyi czynownictwo rosyjskie—a lud, coraz ciemniejszy potem pod rządami rosyjskimi, nie wiedział nawet, o co Staszicowi chodziło.

Po powstaniu 1831 roku i upadku Królestwa Kongresowego, kwiat intelligencji polskiej musiał schronić się przed prześladowaniem caratu za granicę. Główny trzon tej emigracyi, zebrany we Francyi, zwłaszcza w Paryżu, próbował pozyskać pomoc Europy dla sprawy polskiej. Najwięcej uwagi poświęcała emigracya sprawie ludowej, ale działalność społeczna była naj słabszą jej stroną, boć w oddaleniu od kraju i obcy coraz bardziej życiu rzeczywistemu, tracili stopniowo zdadność praktyczną. Wielu wyobrażało sobie, że wystarczy, żeby w jakiej okolicy zebrała się garść powstańców i ogłosiła ludowi, jako po wypędzeniu obcych rządów będzie uwłaszczenie i że zrobi się wielkie powstanie ludowe, gdy wieść taka rozejdzie się od parafii do parafii. Były nawet próby urządzania takich powstań „ludowych“, lecz ani jedno nie trwało dłużej, niż kilka dni. Wielki był u ludu głód na własność ziemską, ale jeszcze większa ciemnota.

Żaden rząd zaborczy nie pragnął oświaty ludowej i szkół ludowych nie zakładał. W Galicyi brał rząd austriacki do wojska każdego włościanina, o którym dowiedziano się, że uczył się czytać i pisać, bo uważano takiego za niebezpiecznego dla władzy. Lud w dawnej Kongresówce, aż do r. 1830 najbardziej oświecony w całej Polsce (bo najdłużej pozostawał pod polskimi rządami), począł się także cofać w oświacie i to coraz bardziej. Cóż się temu dziwić, skoro w Kongresówce było w r. 1905 szkół mniej, niż w roku 1831!! Księża nie mogli szerzyć oświaty, bo każdy taki kapłan był prześladowany przez rząd, często więziony, a nawet wywożony na dalekie wygnanie, jako podejrzany o „czynności rewolucyjne“.

Z ciemnotą łączyła się straszna nędza. Wszystkie stany były zubożone. Szlachta zubożała przez powstania, procesy polityczne, konfiskaty, egzekucye i przez kordony i cła, tamujące handel zbożowy. Miasta upadały na nowo, boć przeprowadzone środkiem kraju potrójne granice państwowe, cła i paszporty, zabiły do reszty ten handel wewnętrzny, który zaczął się tak pięknie rozwijać za Stanisława Augusta. Najgorszej zaś było w Galicyi, bo w Wiedniu obmyślano

wciąż umyślnie sposoby, jakby Galicyę doprowadzić do ostatniej nędzy.

Przyrost ludności wiejskiej gniótł się znowu we wsi rodzinnej. Skończyła się emigracya do wschodnich województw ruskich, a nie zaczęła się jeszcze amerykańska. Nie było gdzie szukać kawałka chleba. Ludzi we wsi było tyle, że połowa byłaby wystarczyła na obrobienie i swojego i pańskiego; lud nauczył się więc mimowoli lenistwa, a nie mając zajęcia dostatecznego, szukał zajęcia w karczmie i tak szło wszystko coraz gorzej. Dwór ubożający dawał też coraz mniej zapomóg, a że chłop zapomogi coraz częściej potrzebował, zaczynała się z tego wzajemna niechęć chaty i dworu.

Ta niechęć podobała się ogromnie rządowi austriackiemu i dalejże rozdmuchiwać zły ogień jeszcze bardziej. Kiedy w roku 1844 szlachta galicyjska wniosła do tronu prośbę o uwłaszczenie, nie dostali całkiem odpowiedzi — bo wtedy nastalaby zgoda chaty z dworem, a rządowi chodziło o to, żeby dwie główne warstwy społeczeństwa polskiego były rozdwojone przeciwko sobie.

Od tego byli urzędnicy cesarscy: j u s t y c y a r y u s z e i m a n d a t a r y u s z e.

W innych krajach austriackich nie było szlachty wioskowej, tylko magnackie dobra po kilka i kilkanaście mil kwadratowych. Taki dziedzic sam nie miał nic do czynienia z włościanami, tylko jego kancelaryja zarządu dóbr, tudzież owi urzędnicy publiczni, opłacani częściowo przez rząd, częściowo przez właścicieli dóbr. Mandataryusz był do spraw administracyjnych, justycyaryusz do sądowych po wsiach. Nie ściągał wówczas rząd podatków wprost od włościan, tylko zarządy dóbr płaciły razem za siebie i za osiadły w nich lud, ściągając sobie już same od włościan, co się należało. O dostarczenie rekruta starać się musiały również te zarządy, a mandataryusze pilnowali tylko, czy wszystko jest w porządku, jeżdżąc po zarządach dóbr.

Ale w Galicyi co pół, a nawet nieraz co ćwierć mili inne dobra, bo inny dziedzic, a bez kancelaryi zarządu dóbr, bo dziedzic sam w pole chodził, znał każdego po

imienu w swojej wiosce, a kto miał do niego interes, mógł go co dzień zobaczyć. U nas wchodził więc mandataryusz i justycyaryusz klinem pomiędzy dziedzica a kmiecia i gmatwał tylko sprawy wiejskie—przyczyniając straty czasu i kancelaryjnej pisaniny. Szlachcic wioskowy sam osobiście musiał zajmować się ściąganiem podatków i poborem rekruta, boć nie trzymał do tego osobnej kancelaryi; a lud ciemny zganiał przez to na dziedzica winę ciężarów i wszystkie złe skutki wadliwej administracji. Urzędnicy byli sami Niemcy; nie znali zwyczajów ani obyczajów polskich i ledwie się mogli dogadać z ludźmi. Nie byli oni u nas przydatni do niczego dobrego. Rząd przykazywał im, żeby brali w swoje ręce każdy a każdy interes pomiędzy dworem a chatą. I tak była ta administracja przewrotna, że co było cesarskiego, to musiał ściągać dwór; a co zaś było dworskiego, tem zajmował się cesarski urzędnik. Skutek z tego był taki, że lud widział w urzędniku swego opiekuna, do którego można iść ze skargą na dwór; a w dziedzicu gnębiela, któremu trzeba odnosić podatki i odstawiać rekruta.

Takie były stosunki w Galicyi, kiedy emigracya zawiązywała przez swych wysłanników organizacyę powstańczą w całej Polsce, aż w końcu wyznaczono termin do powstania na dzień 21 lutego 1846 i ustanowiono w Krakowie rząd powstańczy na wszystkie trzy zabory. Każdy włościanin, któryby się przyłączył do powstania, miał dostać po pięć morgów na własność.

W Wiedniu coś przeczuwali i na trzy dni przedtem zajęli Austriacy wolne miasto Kraków („wolne“ od r. 1815), przyłączając je do swego cesarstwa. Powstanie odwołano, ale nie wszędzie doszedł nowy rozkaz na czas. Przez to nieporozumienie wybuchły nieznaczne i krótkie ruchawki we wszystkich trzech zaborach— a w Galicyi miało się to skończyć w sposób straszny.

Starostowie austriaccy rozpuścili przez urzędników pogłoskę, że „panowie“ buntują się przeciw cesarzowi o to, że cesarz chciałby darować pańszczyznę; a że cesarz nie ustąpi, zachodzi więc jakoby obawa, że panowie wymordują lud wiejski!!

Niema takiej bredni, którejby nie uwierzył ciemny tłum. Niegdyś Kozacy wierzyli, że rząd polski chce cerkwie oddać Żydom! W roku 1846 uwierzył chłop galicyjski, że szlachcic wymorduje całą wieś, żeby zatrzymać pańszczyznę! Nie pomyślał niegdyś Kozak, do czego Żydowi cerkiew może być potrzebna? — i nie pomyślał nasz wieśniak, jak to się zgadza jedno z drugim, że szlachta chce, żeby jej odrabiać pańszczyznę, ale wymorduje tych, którzy na pańszczyznę chodzą?

Zebrało się pod Tarnowem około 300 szlachty, żeby napaść na miasto i wyrzucić załogę austryacką. Starosta tarnowski, Breindl, zebrał kilkuset włościan, kazał im uzbroić się w siekiery i cepy, a nie szczędził wódki na koszt rządu. I zaczęła się bratobójcza walka Polaków z Polakami, wojna domowa z piętnem kainowskim. Na nic się nie zdało odczytywanie chłopskiej gromadzie manifestu rządu powstańczego z nadaniem pięciu morgów; na nic wydany dnia 22 lutego rozkaz tegoż rządu, zagrażający karą śmierci każdemu dziedzicowi, któryby żądał pańszczyzny lub choćby nawet czynszów. Lud oświadczał na wszystko, że oni są „cesarscy“ i muszą robić, co cesarz przykazał.

Namiestnikiem cesarskim w Galicyi był arcyksiążę Ferdynand d'Este, a głównym jego doradcą Niemiec, baron Krieg. Ten na naradzie, co począć z ruchawką szlachecką, śmiało wobec arcyksięcia doradzał urządzić rzeź szlachty przez włościan, bo w ten sposób zapobiegnie się i na przyszłość powstaniom, a narodowość polska będzie złamana najlepiej, gdy Polacy sami pomiędzy sobą będą nstawać jeden na drugiego.

Co się działo wtenczas, strach wspominać. Starosta Breindl płacił z początku za trupa szlachcica po 25 „guldenów“, potem tylko po 10, później coraz mniej. Pomiędzy ludem Galicyi zachodniej znalazło się tylu zbydlęconych Kainów, mordujących za pieniądze, że Breindl płacił w końcu za szlachcica — żywego związanego, czy zamordowanego — tylko po jednym guldenie. Obławiali się jednak przy rabowaniu dworów. Czego nie mogli zabrać, niszczyli, psuli,

łamali, a w końcu podpalali. W Staniątkach pod Krakowem napadła pijana tłuszcza kościół i o mało nie zamordowała księdza. Pod Gdowem mordowali w oczach generała austriackiego Benedeka, mając za to obiecane po dwa „cwancygiery“ (moneta, stanowiąca trzecią część „guldena“ austriackiego).

Ażeby rabujący lud miał swego przywódcę, wypuścił starosta Breindl z kryminału zbrodniarza, niejakiego Szelę — który był przedtem podoficerem w wojsku austriackim. Obiecano mu dużo gruntu i pieniędzy, żeby był „generałem“ nad tłuszcza zbójczą. Przez niego rozpuszczono pogłoskę, że cesarz będzie rozdawać darmo grunta po wymordowanej szlachcie. Takiego kłamstwa rzucać na cesarza nie mogli urzędnicy sami; podpowiedziano więc to Szeli. Chodziło o to, żeby chłop nabrał przekonania, że im więcej wybije szlachty, tem więcej będzie gruntu do rozdania. Poszły więc „z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej“ obwody tarnowski, jasielski, bocheński. Prócz Tarnowa i Gdowa nie było nigdzie zbrojnej szlachty, wybierającej się do powstania — a więc rząd austriacki, szerząc tę rzeź, nie miał już na celu obrony swego zaboru, ale tylko zakazanie polszczyzny bratobójstwem.

Zdarzał się dziedzic niedobry dla swoich włościan (wszędzie znajdują się źli ludzie), ale większość szlachty zachowywała się wobec ludu godnie, sprawiedliwie i sama pragnęła gorąco uwłaszczenia. Jakżeż więc mieli chłopci rzucać się na dwór, który nic złego im nie robił? Poradził na to Szela. Nie rabowali włościanie tej samej wsi, tylko obcy. Wmówiono w gromadę, że tu dziedzicowi nic się nie stanie, ale trzeba iść na innego szlachcica, o parę mil dalej — a tymczasem inna znów gromada przychodziła z dalsza do tamtej wsi.

Działy się rzeczy, wołające o pomstę do Boga. Kilkuset pijanych chłopów otaczało niespodzianie dwór, zabijali żywy, a niszczyli martwy inwentarz; w domu mieszkalnym łamali i tłukli sprzęty, a właściciele, także kobiety i dzieci, brali na męki. Zdarzało się, że pijane łotry rozpi-

łowowali ludzi i wymyślali najcięższe udręczenia, nim ofiarę swoją dobili.

Rozumie się, że żaden porządny kmięć nie wdawał się w te łotrówstwa. Ale jakże smutny był stan moralny tego ludu, skoro tylu wśród niego znalazło się zbójów...

Zasmakowała tłuszczą w krwi, w mordach i pożogach. Po szlachcie zaczęły się zbójckie bandy zabierać do księży, zaczęły się zmawiać, że pójdą rabować miasta...

Tego było już i rządowi za dużo. Wojsko austriackie zabrało się po kilku dniach do rozpędzania galicyjskiej „rabacyi“. Ale przedtem wyróżnięto przeszło dwa tysiące szlachty, licząc wraz z kobietami i dziećmi, a jeszcze więcej odstawiono żywcem do starostw.

Szela dostał wprawdzie order i pensję, a cesarz Ferdynand wydał dnia 13 marca 1846 manifest, dziękujący ludowi wiejskiemu „za wierność okazaną dla tronu“ — ale pańszczyzna została, jak była!

Teraz szlachta straciła oczywiście serce dla ludu. Na włościanina zaczęto wołać: rabuś i zbój! Teraz skończyła się opieka dworu nad chatą. Dwór żądał, co mu się według prawa należało, Gdy chłopci szli teraz do starostw ze skargami, że żąda się od nich nadal pańszczyzny, starostowie ich wyśmiali (już ich nie potrzebowali!), a każdy szlachcic, który tylko chciał, lub rządca, ekonom, dostał po kilku i kilkunastu huzarów, którzy przyjechali na wieś i lud do pańszczyzny napędzali.

Zrabowanem podczas „rabacyi“ po dworach dobrem nie z bogacił się ani jeden. Po kilku tygodniach przyszło opamiętanie, zgryzota sumienia. Jedni wieszali się sami, drudzy we wódce topili do końca życia zgryzotę i przepijali wszystko, inni znów dostawali pomięszania zmysłów; wielu rzuciło wieś rodzinną i szło dobrowolnie za pokutę na wędrownych żebraków.

Rząd zaś austriacki pomylił się w swoich rachubach, że rzuci zarzewie nienawiści trwałej pomiędzy polskie stany. Intelligencja polska wiedziała dobrze, co o tem wszystkim myśleć. Myśl narodową wyraził poeta Kornel Ujejski. Ułożył on z bólu nad tem wydarzeniem wspaniałą modlitwę

wierszem. Zaczyna się od słów: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej“ — a potem zwraca się do Boga z prośbą: „rękę karz — nie ślepy miecz“.

Lud był tylko ślepym mieczem w cudzym ręku. Nie wiedział, co czyni.

Rewolucyjna część emigracji wyznaczała powstanie na rok 1846, bo przypuszczano, że rewolucyjne związki innych narodów europejskich urządzią równocześnie rewolucję powszechną przeciwko rządowi absolutnym. Wierzyli zaś święcie w to, że gdy nastanie w Europie staropolska forma rządu (monarchia konstytucyjna), narody europejskie zajmą się przywróceniem niepodległości Polsce.

Rewolucje wybuchły o dwa lata później, w r. 1848. W Niemczech próbowano nawet w kilku państwach zaprowadzić republikę. Parlament niemiecki uznał prawa narodowe Polaków, ale o prawach państwowych mowy nie było. Póki trwała rewolucja, udawał król pruski Fryderyk Wilhelm IV., że wypowie wojnę Rosji i pozwolono nawet zbierać wojsko polskie. Ale skoro król uznał konstytucję, Niemcy uspokoiли się i o Polaków już nie dbali, a wojsko pruskie rozbroiło oddziały polskie. Zaprowadzono jednak w zaborze pruskim uwłaszczenie włościan.

Wybuchła też rewolucja w Austrii. Polacy należeli oczywiście i tutaj do stronnictwa konstytucyjnego. Bombardowali też Austriacy wówczas Kraków i Lwów. Dnia 6 kwietnia 1848 stawiła się przed cesarzem Ferdynandem deputacja polska, żądając uwłaszczenia włościan i zaprowadzenia języka polskiego w urzędach. Komitet narodowy polski wyznaczył na uwłaszczenie dzień 23 kwietnia 1848 r. Rząd widząc, że się już nie obejdzie bez uwłaszczenia, nie chciał dopuścić, żeby je ogłaszała szlachta polska sama. Ogłosił więc także od siebie dnia 18 kwietnia, że znosi się pańszczyznę od 15 maja. Było to zrobione umyślnie dla Galicyi, bo powszechne uwłaszczenie w całej Austrii uchwalił parlament dopiero 7 września 1848 r.

W zaborze rosyjskim nie poprawiały się jednak stosunki wiejskie. Szczególnie twardym był w sprawie wło-

ściańskiej car Aleksander II. Kiedy szlachta podniosła znowu w r. 1856 sprawę uwłaszczenia włościan, oświadczył, że nie pozwoli na więcej, jak na to, żeby sobie kmięć mógł kupić od dziedzica chatę z ogrodem; ale na gruncie nie pozwoli gospodarować inaczej, jak za pańszczyzną. A poza Kongresówką, w t. zw. Krajach Zabrzanych, w dawnych województwach litewskich i ruskich, nie miał lud nawet wolności osobistej. Stracił to, co mu dała konstytucja Trzeciego Maja, przez rozbiory, i nie odzyskał niczego, bo pozostawał tam bez przerwy pod rządem rosyjskim, nie należąc do Księstwa Warszawskiego, ani do Królestwa Kongresowego.

Dopiero w r. 1861 zawiął w Rosyi świeży wiatr: car Aleksander II. przeprowadzał rozmaite reformy; zgodził się nawet znieść poddaństwo 23 milionów ludu wiejskiego rosyjskiego. Ukaz carski z dnia 3 marca 1861 obwieszczał, że pańszczyzna niema już trwać dłużej, jak 12 lat, a przez ten czas mogą włościanie wykupić sobie własnym kosztem grunta od szlachty. Skarb państwa robił im tylko to ułatwienie, że dawał za nich pieniądze naraz, ściągając je po tem częściami stopniowo, lecz z procentami. Do lat 12 mieli się właściciele dóbr porozumieć z włościanami, a włościanie z bankiem rządowym.

Otrzymał więc włościanin na Litwie i Rusi po 70 latach na nowo to, co mu dawała konstytucja Trzeciego Maja — wolność osobistą. W Kongresówce chodziło tylko o uwłaszczenie, a że sprawa ta była u nas dawno dojrzała, nie myślano czekać 12 lat i w dwa miesiące po ukazie carskim ogłoszono oczyszczanie włościan, znosząc pańszczyznę od razu. W Kongresówce układały się przeto kmięć z dziedzicami już nie o wykup pańszczyzny, lecz tylko o wykup czynszu ze starodawnej, wieczystej dzierżawy kmięcej.

W tem wybuchło powstanie roku 1863 (przygotowywane już od r. 1861).

Rząd tajny próbował bezskutecznie wzniecić powstanie ludowe. Ogłaszano, że daje się ziemię na własność od razu, uwalniając nawet od czynszów. Ale ani jedna wieś nie przyłączyła się przez to do powstania. Lud w Kongre-

sówce rozumował sobie, że powstańcy muszą wpieryw wygrać, a potem dopiero mogą stanowić prawa, nie potrzebowal się zaś obawiać w takim razie praw dla siebie niekorzystnych; lecz jeżeli Moskal będzie górą, mściłby się za przystąpienie do powstania i możnaby utracić to, co się już posiadało i prawo do wykupu czynszów. Czekal więc lud, kto będzie górą. Poczucia narodowego w stanie włościańskim nie było; za mało było oświaty.

Po upadku powstania, w r. 1864, przeprowadził rząd rosyjski w końcu sam uwłaszczenie ludu, ale w taki sposób, żeby powaśnić jak najbardziej dwór z chatą. Służyły do tego przede wszystkim osławione serwituty czyli służebności, zwłaszcza prawo poboru drzewa i ściółki z lasów dworskich, prawo używania łąk i pastwisk, a także dróg i ścieżek na dworskich gruntach. Osobni urzędnicy, t. zw. komisarze włościańscy, płatni byli przez rząd specjalnie za jątrzenie stosunków pomiędzy dworem a chatą. Pisarzami gminnymi zostawali szpiedzy, donosiciele, często kryminaliści... Tak było aż do ostatnich czasów przed wojną powszechną.

Ale bo też w r. 1905 dwie trzecie części ludności w Kongresówce nie umiało ani czytać, ani pisać! Ciemną masę włościańską prowadzili na pasku komisarze włościańscy do celów rządu rosyjskiego.

W r. 1905 wybuchła rewolucja petersburska i od tego czasu zachwiał się carat. W dziewięć lat potem wybuchła wojna powszechna, dzięki której pokonanym trzem mocarstwom rozbiorowym wydarto ze szponów zbójceckich nieszczęśliwą Polskę.

Odzyskanie niepodległości ułatwia nam wszelką pracę. Obyśmy zwiedli skuteczną walkę z ciemnotą!

Wilno, w czerwcu 1921

3755
BIBLIOTEKA

Wyzszej Szkoły Politt.-Wyob.



5939/
1